



ROK LIX

Nr 48

PRZEGŁĄD KULTURALNY

TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEK

WARSZAWA, DNIA 27 LISTOPADA 1926 ROKU

TREŚĆ NUMERU: Z kongresu w Amsterdamie — *Dr. Stefanja Tatarówna*. W naszych złych rękach — *H. C. Dwudziestolecie istnienia „Grażyny” — K. Muszałówna*. Z pamiętnika lekarza szkolnego — *Anna Wolska*. O sen dzieci naszych — *C. Walewska*. Podatki na urzędników — *J. S. Wiersze*: „Zachód słońca”, „W samochodzie”, „Taniec światła na morzu” i „Fontanna” — *Anna Słoneczyńska*. Pamiętnik — *Janina Tumińska*. Jeden dzień na Maderze c. d. — *P. Manlegazza* — autor. przekł. *T. Jakubowicza*. Garść wspomnień z r. 1863 (dok.) — *Izabela z Suheckich Kuncewiczowa*. Kobieta w świecie i w domu — *Z. B.* Z teatrów — *Z. P.* Dział praktyczny: Mody i roboty. *Krakowianka*. Nowoczesna Atena na wozie ognistym — *Spero*. Polska współczesna. U gaźdzy w Sromowcach — *Stefan Łoś*. O wnętrzach mieszkaniowych (c. d.) — *Zygmunt Knothe*. Historia gotowania — *J. S.* Zapasy przedświąteczne — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Korespondencje działu praktycznego. Opis sukien i robót. Dodatek powieściowy: „Trzy kobiety annamickie” — *C. Chivas-Bazan* (tłum. *Dr. M. Kastarska*). Arkusz wzorów.

Z KONGRESU W AMSTERDAMIE



Wielkie odbywał się w Amsterdamie międzynarodowy kongres kobiet z uniwersyteckim wykształceniem. Piękne to miasto gościło 400 delegatek, jako reprezentantek związku, liczącego 40.000 członków. Dużo delegatek przyjechało z Ameryki, Australji i południowej Afryki — z Europy, prócz Grecji i Rosji, reprezentowane były wszystkie kraje. W odległej dzielnicy miasta, w wielkim gmachu Muzeum kolonialnego obradowano blisko tydzień. Obrady przerywane były wycieczkami, zwiedzaniem miasta, przyjęciami. Na kongresach tego rodzaju ważniejszym od tego, co się wygłasza w referatach, jest to, co się mówi podczas zebrań i wycieczek; zbliżenie się ludzi, poznawanie się wzajemne. Kongres zajmował się przede wszystkim sprawą kobiet i to w organizowanym zakresie kobiet z wyższym wykształceniem, ich położeniem materialnym, prawnym, tem, co już zdobyły i co jeszcze mają zdobyć. Z ogólnych spraw była na porządku dziennym sprawa instytutu współpracy umysłowej w Genewie i języka międzynarodowego.

W przemówieniach wstępnych było pytanie zasadnicze. Czy to nie jest już anachronizmem, organizowanie samych kobiet, walka o swe interesy, zamiast dla wspólnych celów ludzkości. Na to pytanie padła odpowiedź dwojaka. Musimy walczyć o prawa swoje, gdyż jeszcze nie zdobyliśmy wszystkich, wiele z nich należy tylko do krain teorii, dalekiej od urzeczywi-

stnienia. Dokąd nie zdobędziemy wszystkiego, musimy jeszcze pracować dla siebie. Z innej strony podkreślono i to, że związek ma także cele idealne, bo, łącząc kobiety różnych krajów, nieraz sobie wrogich, pracuje dla ludzkości, dla jej lepszej przyszłości.

Lecz więcej, niż z referatów, nieraz suchych i jednostronnych można było skorzystać na wspólnych wycieczkach. Tam dopiero poznało się jednostki wybitne z różnych krajów, tam można było omawiać różne zagadnienia aktualne, tam też powszechnie wyrażano opinię, że możeby lepiej było uczynić tematem zjazdów nie samą kwestję kobiecą, ale różne zagadnienia aktualne z dziedziny duchowej.

Podczas takich wycieczek można było poznać trochę nowych prądów w Holandji. Najciekawszą z nich była całodzienna wyprawa do szkoły filozoficznej w Amersfoort.

Szkoła z internatem, położona ślicznie w lesie, który urządzono odpowiednio, zaopatrzona we wszystko, czego wymaga wysoka kultura dzisiejszego człowieka. Wykłady odbywają się przez parę miesięcy letnich, w godzinach porannych, po południu, dyskusje nad niemi. Wykładają profesorowie filozofji z Holandji i Niemiec. Jest dążeniem szkoły, która jest jeszcze bardzo młoda, by zyskać profesorów i uczniów różnych narodowości. Ma to być kuźnią nowej myśli filozoficznej, poruszają tam zagadnienia najwięcej dziś aktualne. Kierownicy chcą wskrzesić Hegla w nowej interpretacji. W tej szkole, którą nazywają uniwersy-

tetem ludowym widać też dążenia do zmiany poglądu na naukę. Nauka nie jest celem dla siebie, ale drogą do celu, — ona ma ułatwić życie, rozjaśnić je, — zdobywanie wiadomości jest dobre, ale nauka musi prowadzić do pewnej syntezy, do wysokiego poglądu na świat.

Tu w Amersfoort poznałam także nowy ruch wśród kobiet, zwany feminizmem etycznym. Polega on na tem, że uznaje się różnice w naturze kobiety i mężczyzny, nie dąży do zupełnego upodobnienia, nie uznaje walki, ale rywalizację w jakości pracy. Jest nowy i wyższy rodzaj ruchu kobiecego.

Najwięcej można się było zbliżyć do różnych kobiet podczas zwiedzania miasta, szczególnie wspólne oglądanie Rembrandta wszczęło rozmowy, które pozwoliły na lepsze poznanie się. Amsterdam ma jeden wielki skarb — na imię mu Rembrandt — jego dom — Haga ma też wiele Rembrandtów, ale tu są najlepsze. „Matka” — ten portret wybrany ze wszystkich, gdy czyta biblię. Jakież pietyzm tam znać, jakie ukochanie postaci odtwarzanej. — Albo — „Anatom” — rozwiązanie problemu oświecenia, albo „Straż nocna”.



W starej wąskiej uliczce — jego dom. Musiał być wtedy zamożny, dziś nam się wydaje mały. Przy oglądaniu licznych szkiców i akwafort prowadziłam z Francuską i Holenderką rozmowy o sztuce. Rozmowy te stwierdzały, jak wiele mamy wspólnych poglądów.

Holandja ma wielki urok. Taka płaska jednostajna, szara, a przecież pociąga dziwnie jej krajobraz. Pociąga morze kwiatów i ten cudowny koloryt który daje słońce zakryte mgłami. I te stare, uświetnione przez sztukę, młyny.

I jeszcze — morze. Jeździliśmy po niem wspólnie od strony zatoki, do starej wyspy Markem, jeździły wycieczki na pełne morze. Przyrodniczki oglądały stawne dűny, które tylko w niektórych miejscach są dostępne dla publiczności — zresztą odrutowane, jak wszystko w tym kraju porządku, który już psuć się zaczyna.

Organizacja miejscowa przyjmowała kongres w swoim pięknym lokalu, który wychodzi na ogród pełen kwiatów. Zadzierzgnięto tam pewne węzły przyjaźni, które pozostają nietylko jako wspomnienie, ale i jako ważne i szczęśliwe przeżycia.

Dr. Stefanja Tatarówna.

W NASZYCH ZŁYCH RĘKACH



Cudowny, zaprawdę, wynalazek, jakim jest teatr świetlny, zużytkowany został przez ludzi w sposób barbarzyński. Najpospolitsze sensacje, najprymitywniejsze efekty, najwulgarniejsze wzruszenia — oto czemu służy dzisiaj kino. Czasem tylko przesunie się przez ekran jakiś obraz, od którego wionie na widownię wielką poezją, gdy np. bohaterska saga Nibelungów rozkołysze stare dzwony w Worms, czasem zadrga film wielką tragedją narodów, i wtedy, patrząc, jak w bezbrzeżnym stepie niknie orszak pogrzebowy ostatniego wodza indjan amerykańskich, na widowni płaczą wszystkie małe i stare dzieci. Ale to są momenty, niesłychanie rzadkie momenty, wśród morza płaskości, sherlock-holmesizmu całkiem amoralnego, oraz niedorzeczności wszelkiego rodzaju. Po te momenty nastroju chodzi do kina pewien drobny odsetek publiczności, i wyławiając je, jak perły, rozmyśla, czem mógłby stać się kinematograf, gdyby... przedewszystkiem nie był w rękach spekulantów, którym chodzi tylko o możliwie największe zyski.

Są ludzie, którzy o kinie mówią, jak o największym zgorzeniu współczesnem, jak o dziele antychrysta. A sami temu winni!..

Niewątpliwie, dziś kino robi dużo złego, choć nawet takie, jakie jest, posiada walory kolosalne, kto wie, czy nie przewyższające stron ujemnych.

Oczywiście, nie mówię o kinach nieoficjalnych. Trzebażbo wiedzieć, że i nawet w Warszawie są kina

potajemne. (Czego my dziś nie konspirujemy, mój Boże!). Tam już, oczywiście, sama esencja deprawacji i pornografii — wyłącznie dla wtajemniczonych!

Tych kin się poszukuje, ale, jak dotąd, nie znaleziono ani jednego. Nie wytoczą nam chyba władze procesu, gdy wyrazimy przypuszczenie, że poszukujący ich bawią się, zapewne, sami zbyt dobrze na przedstawieniach tego rodzaju, by drugim tę niezwykłą rozrywkę psuć...

Tak to w złych naszych rękach najpiękniejsze zdobycze umysłów i serc, najcudowniejsze dary ducha obracają się na zło.

Umieli ludzie z chrześcijaństwa w pewnych okolicznościach i pod pewnemi szerokościami geograficznymi uczynić narzędzie ucisku. Czemużby z kino-teatru zrobić nie mieli najwulgarniejszej z rozrywek, albo nawet instrumentu do rozdmuchiwania najniższych, najbardziej zboczonych — perwersyj.

A wszystko to dowodzi tylko, że wstrętnymi niedołęgami są t. zw. „ludzie dobrej woli”, kretynami są wobec pomysłowości i inicjatywy ludzi „złej woli”.

Dziesiąta Muza dary swoje rozrzuca najhojniej, jest przystępna, łatwa, zrozumiała dla ubogich umysłów i wiedzą.

„Wielki niemy” przemawia obrazami. Jest to mowa, wżerająca się najgłębiej nawet w najbardziej jałowe piaski mózgów bez wyobraźni, i dusz bez kultury.

Stąd—kolosalna jego potęga i ta rozlewność najistotniej demokratyczna na najszerze tłumy widzów.

A teraz — w obronie tych tłumów:

Nie jest prawdą, by trafiał do gustu ich tylko pospolity nonsens, amoralna sensacja i wogóle to wszystko, co dziś w 90 procentach stanowi treść przedstawień kinematograficznych.

Nie jest prawdą — przynajmniej u nas. I dlatego nareszcie musimy, powinniśmy mieć filmy własne—nie te, czerpane z życia apaszów warszawskich — jakby już nic interesującego nie było w Polsce całej i na świecie, prócz jaskiń rzezimieszków.

W Polsce, gdzie pozostawiony nam w spadku po rządach zaborczych, procent dorosłych analfabetów zmniejsza się bardzo powoli, i gdzie jeszcze długie lata ten zabytek konserwować nam przyjdzie — kino stać się powinno potężnym rozsądnikiem oświaty i kultury. Powinnaby swój kinoteatr mieć każda wieś, a przynajmniej każda gmina, szkoła każda.

Całą wspaniałą literaturę naszą przefilmować by można i tym sposobem przenieść ją nareszcie „pod strzechy“. Nasi pisarze są przede wszystkim wielkimi twórcami obrazów. Jest to właściwość psychiki polskiej, twórczości polskiej. Mickiewicz, Słowacki, Sienkiewicz są genialnymi malarzami.

Pokażcie ludowi na filmie „Pana Tadeusza“, a przekonacie się, że Polska cała na film ten pójdzie.

Ileż tam najwspanialszych obrazów! Zaczawszy od tych pól, „malowanych zbożem rozmaitem“, od starych dworów i zamków, poprzez barwny świat szlachecki dawnej Polski, poprzez polowania, zajazdy, karczmy i zaścianki, do spowiedzi ks. Robaka, do wspomnień Soplicy, bitew konfederackich i napoleońskich—aż do legjonów i koncertu Jankla! Któżby tego nie chciał zobaczyć i z tych co czytali i z tych, co nie przeczytają nigdy!

Pokażcie ludowi na filmie Balladynę. Ta baśń nad baśniami, jak wszystkie baśnie najlepiej się do teatru świetlnego nadaje. Pokażcie „Konrada Wallenrada“ i „Sen srebrny Salomei“, z którego wystawieniem tak się od lat tylu niefortunnie zмага teatr. Bo te rzeczy nie, są właściwie, dla zwykłego teatru. One czekały na X-tą muzę. One potrzebują widmowego teatru światła i cieni.

Są w literaturze naszej rzeczy, jakby stworzone dla popularnych, wiejskich teatrów świetlnych. Prze-filmujcie taką „Bitwę Racławicką“ Lenartowicza, takiego „Jana Kilińskiego“ Wincentego Pola.

Pokażcie ludowi stępy i burzany, i lirników, szlachtę i kozaków, pożary miast, wojny, zwycięstwa, klęski... Pokażcie im „Ogniem i Mieczem“, „Potop“, „Wołodyjowskiego“ nie wybierając z tych powieści samych scen romansowych tylko. A komentarze do obrazów dajcie w mowie wielkich pisarzy, nie w tej gwarze amerykańsko-nalewkowskiej, która każdemu

kulturalnemu człowiekowi skrzypi w uszach i nawet w lepszych momentach filmu wytrąca go z nastroju. Nie w tym ohydny, międzynarodowy wolapücku kinowym!

Kino musi się stać i prędzej, czy później, stanie się najpotężniejszym sprzymierzeńcem i pomocnikiem nauczyciela.

Nauczyciele szkół powszechnych, zwłaszcza po miastach, wiedzą, że z każdym dniem trudniej jest nauczać dzieci historii. Życie współczesne tak pochłania!

W naszych oczach historia pomaszerowała krokami olbrzyma... Trzeba nauczyciela niezwykłego talentu, by opowiadaniem o przeszłości zainteresował, by nauczył... Ale film nauczy. Obraz w wyobraźni i pamięci dziecka zostanie na zawsze.

Znakomitym nauczycielem i popularyzatorem nauk przyrodniczych, zwłaszcza biologii, przyrody żywej—może być kinematograf. Bywalcy kinowi zauważyć mogli, że na obrazach, przedstawiających np. dno morskie i jego życie, zjawiska symbiozy, i t. p. które teraz daje się czasem, jako dodatek do „dramatu“, publiczność nawet najprymitywniejsza, wcale się nie nudzi.

Przeciwnie, słyszy się różne pytania, uwagi i wykrzykniki, świadczące o zainteresowaniu. Zróbmy z tego system! Zobowiązmy przedsiębiorców kinowych do dawania codziennie, przy każdym przedstawieniu, jakiegoś, odpowiednio skonstruowanego fragmentu nauk przyrodniczych, czy historycznych. Magistraty mogłyby to uczynić, choćby spuszczając nieco z podatku...

W ten sposób popularyzować można wiedzę o bakterjach chorobotwórczych, zasady higieny, nowe odkrycia naukowe, geografję dalekich ziem i oceanów...

Czegóżbo zrobić nie można przy pomocy kina?! A robi się przeważnie rzeczy liche, pospolite, grube i głupie.

Szczególnie apatyczne pod tym względem są nasze społeczne instytucje oświatowe. Taka „Macierz“ np! Gdyby w Zarządzie jej byli, jak dawniej, działacze oświatowi, a nie politycy, wojewodowie i posłowie, napewno miałyby już dziś cały szereg własnych kin i własną pracownię filmów.

Apatycznym, nieruchomym, pogrążonym w chłonnoszczyźnie paragrafów i regulaminów, a wciąż jeszcze dalekim od życia, od nowych pomysłów i nowych metod jest i nasze Ministerjum oświaty.

Któżbo nareszcie przyjdzie i kino, ten potężny środek propagandy, oświaty, kultury, ten reflektor odbijający tysiące promieni, w ciemność naszą i ciemnotę wniesie?!

Kto stworzy u nas naprawdę tę nową sztukę? Kto dziesiątą muzę ujmie za rękę i w dom nasz wprowadzi?

H. C.



DWUDZIESTOLECIE ISTNIENIA „GRAŻYNY“

W dniu 24 października b. r. polski świat sportowy obchodził uroczystość w historii sportu naszego niezwykłą: „Grażyna“, wyłącznie kobiece gniazdo sokołe święciło rocznicę swego dwudziestoletniego istnienia.

Historja sportu polskiego, a mamy tu na myśli głównie b. kongresówkę, w porównaniu z takąż historją innych narodów, jest bardzo krótka. Rolę hamulca odegrały tu — jak wiadomo — wrogie czynniki rządu zaborczego, które w działalności nawet towarzystw gimnastyczno-sportowych dopatrywały się dla siebie niebezpieczeństwa. Pomimo to jednak i na-przekór temu rozwijał się, acz powolnie i w rozmiarach wyższych, ruch sportowy w Polsce. Ruch ten posiada w historii sportu świata całego karty bardzo piękne, karty stanowiące niezaprzeczone świadectwo zrozumienia idei wychowania fizycznego, podporządkowania idei wyższego rzędu, idei najwyższego dobra narodu.

Warunki, w jakich do roku 1917 rozwijał się w Polsce ruch sportowy, są absolutnie odrębne od tych, z jakich korzystał on na całym świecie. Każde z państw współczesnych, jeśli nie uważało za swój obowiązek współdziałania ze społeczeństwem w dziedzinie rozpowszechniania zasad wychowania fizycznego, to — w każdym razie — na zabiegi różnych w tym kierunku organizacji patrzyło przyjaznym okiem, nie stawiając żadnych przeszkód, ani trudności.

U nas — jakże odmiennym typem dokonywał się rozwój wychowania fizycznego przed rokiem 1917. Nie mogąc, na skutek zakazów, żyć swobodnie w pełnem świetle dnia, oskarżany o przeciwpaństwową działalność ideowy, polski ruch sportowy widzi się zmuszonym przyjąć konspiracyjną formę istnienia, schodzi w podziemia. Pomimo prześladowań, pomimo niebezpieczeństw — żyje i rozwija się. Skupia wokół siebie wszystkich, którym bliską i drogą jest myśl odzyskania wolności, prowadzi do niej drogą hartu fizycznego i moralnej tężyzny.

W historii zmagania polskiego ruchu sportowego z wrogimi ideami zaborczego rządu, w historii pierwszych naszych poczynania na niwie realizacji zadań idei wychowania fizycznego — odrębną, wspaniałą wypełnioną kartę posiada kobiece gniazdo sokołe „Grażyna“, — kolebka kobiecego ruchu sportowego w b. Kongresówce, której pierwszą kołysankę śpiewały rewolucyjne pieśni roku 1905.

Tak, rok 1905 był ojcem „Grażyny“. Rok, w którym nadzieja odzyskania wolności wywołała niedający się ukryć ruch do stawiania czynów. Rok, w którym ożyły nadzieje, okrzepły siły, w którym zrywała się potężnym, spontanicznym rzutem cała energia męczzonego narodu.

Pragnienie czynu było objawem powszechnym wśród ówczesnej młodzieży polskiej. Brak dostatecznych ram organizacyjnych nie pozwalał na ujęcie w karby wszystkich budzących się sił. Powstaje więc szereg organizacji nowych, a wśród nich powstaje również „Grażyna“.

W owym czasie głośno już było na świecie o konieczności i przydatności wychowania fizycznego dla kobiet. U nas — głucho było w tej dziedzinie. W tym więc kierunku poszły zamiary organizacyjne twórców „Grażyny“.

Inicjatywę bierze w swoje ręce właścicielka i fachowa kierowniczka zakładu i kursów dla nauczycieli gimnastyki, p. Helena Prawdzic — Kuczalska. — Tworzy ona zespół ćwiczebných pań, dobiera starannie szereg jednostek, poświęconych sprawie wychowania fizycznego i nadaje całej tej grupie formy organizacyjne. Nową placówkę ochrzczono imieniem litewskiej bohaterki Mickiewiczowskiej, „Grażyny“.

Już w rok później kierowniczki „Grażyny“ decydują przyłączyć się do Związku Sokolstwa Polskiego. „Grażyna“ staje się V gniazdem Okręgu Warszawskiego.

Obok p. Kuczalskiej grupują się jednostki, dziś wielce dla sprawy wychowania fizycznego kobiet zasłużone. Widzimy więc p.p. Helenę Mieczysławską-Olszewską, Zofję Hoffmanównę, Zofję Olendzką i inne.

Już w pierwszym roku swego istnienia „Grażyna“ liczy imponującą liczbę 156 członkiń.

Najważniejszy dział pracy, pracę techniczno-wychowawczą z całym poświęceniem pełnią instruktorki, zwane naczelniczkami. W latach 1905 — 1909 — trudną i odpowiedzialną tę funkcję pełni p. Stołygiewiczówna, w latach 1909 — 1920, a więc przez lat 11 — p. Mieczysławska-Olszewska. Wreszcie od roku 1920 do dnia dzisiejszego funkcję naczelniczki pełni p. Felicja Tryburska, znakomita all-round sportswoman, jedna z najlepszych w całej Polsce instruktorek wychowania fizycznego i sportów.

W pracy technicznej dzielnie dopomagają sokolipanie. Wśród nich zasługują na wymienienie: pp. Dobrowolski, Trapszo, B. Olszewski. oraz Kazimierz Weyrauch, obecny fachowy i wybitny kierownik lekkoatletycznego zespołu „Grażyny“.

Na kierowniczych placówkach organizacyjnych, na stanowisku prezesa, przez lat 20 przewijają się nazwiska następujące: Helena Kuczalska, Zofja Olendzka, Jadwiga Gebethnerówna, Zofja Raczyńska, Iza Stillerowa-Mandukowa, Wanda Kryńska, Jadwiga Jaworska oraz obecnie — Krystyna Krzesińska.

Najważniejszą formą pracy w „Grażynie“ była oczywiście praktyka ćwiczeń fizycznych. Tem niemniej praca owa jest tylko jednym z rozdziałów szerokiej działalności „Grażyny“. Krótki wgląd do kroniki gniazda tego, pisanej krótkim stylem telegraficznym, sygnalizuje nam szereg prac o charakterze ideowo — społecznym i narodowym. Całości dopełniają gry sportowe, życie towarzyskie i praca w kierunku wychowania fizycznego, prowadzona na terenie innych organizacji kobiecych,

Dla najbardziej plastycznego zilustrowania programu prac „Grażyny“, wyjmijmy żywcem parę kart z historii tej organizacji. Oto one:

Rok 1907. Obchód Konstytucji 3-go maja i powstania listopadowego. Adres do Orzeszkowej i posła

Kramarza. Lekcje pływania w szkole Kozłowskiego. Utworzenie chóru. Systematyczne lekcje i popis gimnastyczny. Zbiorowe uczęszczanie na ślizgawkę. Kilka wycieczek, przedstawienie amatorskie, 2 koncerty.

Rok 1911. Zorganizowanie kompletu gimnastycznego dla członkiń stowarzyszenia „Dźwignia“.

Znowu obchody rocznic narodowych. Wieczory literackie. Wprowadzenie musztry do ćwiczeń. Gimnastyka i sporty, jak wyżej.

Rok 1914. Prócz powyższych — udział w Polskim Komitecie Pomocy sanitarnej.

Rok 1916. Prócz powyższych — wykłady sanitarne. Udział w przyjęciu delegacji legjonów polskich.

Rok 1917. Z powodu odmowy zalegalizowania „Grażyny“ przez Niemców — praca trwa w ukryciu, w niczem nie wpływając na zmniejszenie programu pracy.

Rok 1918. „Grażyna“ prowadzi ćwiczenia gimnastyczne dla skautek. Udział w kwestach na cele społeczne.

Rok 1920. „Grażyna“ tworzy drużynę „dorostu“, dziewczynek w wieku od 13 lat, prowadząc racjonalną pracę nad ich wychowaniem fizycznym. Przy II Komendzie Straży Obywatelskiej powstaje żeńska kompania, złożona z grażynianek, w której zaszczytnie wyróżnia się p. F. Tryburska, obecna naczelniczka „Grażyny“. — Udział w pracach Polskiego Czerwonego Krzyża.

Poczynając od roku 1921 „Grażyna“ rozpoczyna normalną pracę. Rozwija się stale i zdobywa coraz większe uznanie w świecie sportowym stolicy. Dziś — bezsprzecznie, kroczy na czele polskiego sportowego ruchu kobiecego.

Do wyluszczonej kroniki prac „Grażyny“ należałoby dodać jeszcze jeden wspaniały jej czyn: poparciem materialnym „Grażyna“ przyczynia się w roku 1914 do powstania drugiej wielkiej placówki sportu kobiecego w Warszawie, Warszawskiego Klubu Wioślarek.

Na zakończenie tego krótkiego rysu historycznego, z którego coraz to wyskakują fakty — czyni same

za siebie mówiące, zatrzymajmy jeszcze uwagę naszą na obecnym stanie rozwoju „Grażyny“.

„Grażyna“ poza ćwiczeniami gimnastycznymi, prowadzonymi w 3-ch grupach na skalę bodaj najwyższą w Polsce, posiada zarazem zespół lekko-atletyczny, oraz latem energicznie prowadzi lekcje pływania i gry ruchowe.

Popisy gimnastyczne „Grażyny“, odbywające się raz do roku, posiadają już swoją ustaloną sławę najlepszych. Zaslugę tych wyników możemy bez obawy zapisać na dobro niezwykle utalentowanych instruktorów „Grażyny: F. Tryburskiej i K. Weyraucha.

Zespół lekko-atletyczny „Grażyny“ aczkolwiek nie posiada dziś jeszcze jednostek tak utalentowanych i bezkonkurencyjnych, jak p. Konopacka z A. Z. S. jest natomiast bezkonkurencyjny, jako zespół. Żaden klub w Polsce nie posiada tylu, co „Grażyna“, lekko-atletek o klasie tak wysokiej i tak wyrównanej.

Na specjalną naszą uwagę zasługuje fakt, że lekko-atletki „Grażyny“ posiadają, dzięki swym instruktorom, doskonałe przygotowanie gimnastyczne. Dzięki temu górują one techniką i stylem nad zawodniczkami innych klubów polskich. Dzięki wszechstronnej zaprawie, instruktor lekko-atletyczny Grażyny, p. Weyrauch, racjonalnymi drogami osiąga nietylko rezultaty rekordowe u swych pupilek, lecz ponadto praca jego konsekwentnie zdąża do zapewnienia im atrybutów zdrowia, siły, piękna i długiej młodości.

Instruktorzy „Grażyny“, p. F. Tryburska i K. Weyrauch, wybitni dziś fachowcy na polu sportów i wychowania fizycznego, będą umieli zapewnić „Grażynie“ długie lata pomyślnego rozwoju i wielu triumfów polskich na dalekich boiskach świata.

Miło mi jest nad wyraz — jako dziennikarzowi, specjalnie pilną zwracającemu uwagę na rozwój sportu kobiecego w Polsce — stwierdzić, że „Grażyna“, kołębka tego ruchu, wierna swej tradycji, dzierży dziś prym wśród tych, którym przoduje historycznie.

Dalszego, równie pomyślnego rozwoju, dalszych triumfów w lekkiej atletyce, jako owoców rzetelnej, bezinteresownej pracy — życzymy „Grażynie“ na dalsze lata jej życia.

K. Muszałówna.

Z PAMIĘTNIKA LEKARZA SZKOLNEGO

Od kilku miesięcy jestem lekarzem szkolnym. Stoję blisko i biorę udział w pracy na placówce, która mi się wydaje dziś najważniejszą. Kiedy analizujemy te głębokie wyrwy i skazy, jakie w życiu wszystkich cywilizowanych społeczeństw wywołała wielka wojna europejska, dochodzimy do wniosku o bardzo ponurej treści.

Mam wrażenie, że nie zdajemy sobie sprawy nawet z tego, jak bardzo cofnęliśmy się pod względem kultury, jak głęboko sięga to „schamienie“, które szpeci nam życie rodzinne i towarzyskie, od którego ściska się boleśnie serce tych, którzy mają żywo w pamięci cały urok i swoisty czar naszego dobytku — prawdziwej kultury polskiej.

— Nie zobaczymy już innych lepszych pod tym względem czasów — mówimy sobie my ludzie dojrzałego, ci co stoją już w progu starości. Jedyną dla mnie pociechą w takiej chwili jest to morze jasnych główek dziecięcych, które widzę codziennie w coraz to innej szkole powszechnej. Tu właśnie tkwi nadzieja lepszej przyszłości.

Na początku roku szkolnego mamy, jako lekarze trzy piekielne dni. To są zapisy do szkół powszechnych. Siedzę w swoim gabinecie lekarskim przez te dni po 8 — 9 godzin i obok mnie przewijają się nieskończony szereg „siedmiolatek“. Obecna jest zawsze mamusia lub tatuś. To ostatnie uważam zawsze za mniej dla siebie dogodne. Duże, niezgrabne, zgrubiałe od pracy palce biedzą się nad rozpinaniem guziczków przy świątecznych sukienkach małych dziewczynek, które przystrojone, z wielkimi kokardami we włosach wyglądają nieraz jak barwne motyle. Przytem „tatusz“ rzadko kiedy wie dokładnie, na jakie choroby chorowało dziecko, a my musimy to notować na naszych kartach statystycznych.

Czasami, jeżeli jestem mniej zmęczona, wytykam Im tę ignorancję tonem żartobliwym:

— Żadnego pożytku z „tatusiów“ lekarz szkolny mieć nie może!

W tym żarcie tkwi jednak głęboka prawda, która mnie nieraz zastanawiała. Uderzyła mnie ona najbardziej, kiedy po dłuższym pobycie zagranicą, przyje-

chałam na stałe do Polski i zaczęłam się przyglądać naszemu społeczeństwu. Ostatnio byłam w Anglii, gdzie zastanawiała mnie zawsze powaga i bogactwo życia rodzinnego. Jakże inaczej tam wygląda stosunek ojca do dzieci! Jak wcześniej chłopak angielski staje się towarzyszem i współpracownikiem swego ojca. Nawet, kiedy ta współpraca może mieć jeszcze bardzo ubogi i nikły zakres.

Z okien swego pokoju widziałam mały ogródek angielski, w którym stale po pracy biurowej pracował ojciec-urzędnik ze swymi dwoma małymi synami. Zdejmowali kurtki—mieli je podobne, tylko różnych rozmiarów, zakasywali rękawy swych doskonale zrobionych koszul sportowych i kopali, i sadzili flance razem, rozmawiając wesoło, żyjąc intensywnie w szczęśliwym światku swego rodzinnego życia.

Jakże inaczej wygląda chłopak polski w tym samym wieku! Spójrzmy na jego ubiór: zniewieściały, na te haftowane kołnierzyki, którymi zdobimy naszych 8—9 letnich synów. Nieraz idąc ulicami Warszawy przyglądam się takim chłopaczkom, prowadzonym na spacer przez troskliwe matki. Uczą się w kompletach, bo matka szkoły się boi, żyją bardzo higienicznie, w po-



łudnie są zwykle osobiście przez matki wyprowadzani na spacer.

Uderza mnie nie tylko, jak już wspomniałam, zniewieściały typ stroju tych chłopców, ale znudzony, pełen rezygnacji wyraz ich anemicznych twarzyczek. Są pozbawieni normalnej w ich wieku ekspansji, nie mają kolegów, o sporcie wiedzą tylko z przygodnie oglądanych ilustracji...

Czyżby matki w Polsce były wyjątkowo lekkie i nierozumne? Nie, tylko ojcowie nie mają nigdy czasu, czy ochoty, żeby wziąć udział w wychowaniu swych synów. Pewnego razu słyszałam kilkoletniego chłopczyka, który mówił z całą powagą: „Przecież ojciec zawsze mniej dba o dzieci, niż matka”. Znałam też ojca, który z całym uznaniem dla pracy wychowawczej swej bardzo inteligentnej i utalentowanej żony, mówił do niej: „Nie chcę ci się w to wtrącać, ty to tak ślicznie sama robisz”. Ten piękny gest uchylecia czoła przed jej umiejętnością nie powinien nigdy wykluczać pomocy i współpracy. Najlepsza matka, biorąc na swe barki dostoyny trud chowania synów, nie zastąpi nigdy ojca i nie powinna nigdy robić wysiłków w tym kierunku.

Anna Wolska.

O SEN DZIECI NASZYCH

W myśl naśladowania zachodu pod względem wczesnego wstawania i wczesnej pracy zaczynamy dzień nasz o ósmej.

Tak się mówi. Biura niby już kwadrans po ósmej wycofują listy zapisów. Sklepy niby o 8 $\frac{1}{2}$ rozsuwają żelazne zabezpieczenia. Redakcje, administracje pism, hurtownie, współdzielnie niby najpóźniej od trzech kwadransów po ósmej oczekują klientów. „Niby”—najelastyczniejszy i najrozciągliwszy wyraz w polskim języku. Można go rozumieć, jak się chce. Można podsuwać pod niego, co się chce.

Więc naprawdę — żaden szanujący się urzędnik nie zasiada przy biurku przed dziewiątą. (Może teraz inaczej — po ostatnim rozporządzeniu pana ministra spraw wewnętrznych). Żadna dostoyna firma nie rozsuwa żelaznych wrót również przed tym terminem. Sekretarz redakcji zjawia się o jedenastej najwcześniej. Administracje — ze względu na wyczekiwana prenumeratę — zaczynają działać o dwie godziny wcześniej.

Punkt ósma na stanowisku muszą być tylko nauczyciele i uczniowie. To jedno nie na „niby”. Góry stalówek i balony atramentu wypisano, żeby wyblagać przesunięcie terminu choć o pół godziny później. Próżno. Któryś tam paragraf ustawy szkolnej trwa w swojej mocy i nie zanosi się, aby kiedykolwiek uległ zmianie.

Dziecko biednej krawcowej, modystki, bielizniarki — chałupniczki musi czuć, dopóki trwa roboczy warsztat matki. Dopóki nie wyjdzie ostatnia klientka, z których prawie żadna nie rozporządza czasem swoim dowolnie.

W jednej izbie śpi, je, pracuje cała rodzina, albo i — kątami — nawet parę rodzin. W tej jednej izbie turkocze do późnej godziny maszyna. Schodzą

się o różnych porach, niekiedy dobrze po północy — lokatorzy i sublokatorzy. Czasami o świcie jeszcze trwają kłótnie, rozmowy. Dziecko, choćby położyło się wcześniej do łóżka, które dzieli z matką, ojcem, bratem, i zasnęło mocno, — budzi się albo gdy głośnieniej zawarczy maszyna, albo gdy kłótnia sublokatorów przejdzie w bójkę na noże. Otworzy wylekłe oczęta i chociaż zamyka szczelnie powieki, już długo zasnąć nie może. Powtarza w myśli lekcje. Nadśłuchuje, co mówią starsi. Przewraca się z boku na bok. Nareszcie go zamarca. Ma wrażenie, że tylko co zasnął, gdy już go budzą „do szkoły”.

Główka ciężka. W oczach jakby garniec piasku. W uszach szum. Ale wstaje. Obmywa się. Zjada, co mu dadzą. Zbiera książki. Idzie. Ani minuty spóźnienia, bo nota w dzienniku i zły stopień ze sprawowania.

Niewyspany chłopiec czy dziewczynka ledwie usiedzi na twardej ławce. Głos nauczyciela, katedra, tablica, główki kolegów, koleżanek — wszystko jak we mgle. Rozcmuchuje się dopiero na odgłos dzwonka, zwiastującego przerwę. Kułak w bok sąsiada, szturchańce po schodach, wyścig — kto pierwszy na podwórzu? Lanka, klipa, domorosły football, walki atletów — kto kogo zwali? — wsączają krew w żyły.

Po dzwonku ta sama ospałość i rozleniwienie we wszystkich kościach. Dziewczynki jeszcze gorzej, bo nie siłują się, nie kopią, nie podstawiają sobie nóg, żeby przewrócić jedna drugą. Czasem „lata ptaszek”, albo gdzieś w kącie, pokrywomiu fokstrocik, jak ciocia Mania z sublokatorem.

Mówią — szkoły powszechne muszą zaczynać się o 8-ej, bo dokądżeś trwałaby później druga popołudniowa zmiana?

Wiadomo. Nie mamy budynków. Dusi się szkolnictwo. Następują sobie na pięty podwójne oddziały. Albo zawiesić przymus szkolny, albo przystosować się do możliwych warunków.

A szkoły średnie — prywatne?... Tam niema dwóch zmian.

Ważki argument zbija teza, że — przedewszystkiem byłoby niedemokratycznie wprowadzać wyjątki. Następnie, że szkolnictwo zmierza do jednolitego ustroju i rozważania w tym kierunku są już w toku. Tak samo więc dziecko inteligenta, jak robotnika musi wstawać zimą o zmroku i pędzić przez puste ulice przy niezgaszonych jeszcze latarniach. A dziecko to — wrażliwsze i delikatniejsze o wiele, tak samo gnieździ się wraz z całą rodziną w jednym pokoju. I tak samo późno w noc turkocze mu maszyna zarobkującej matki, szeleszczą papiery ojca, który bierze dodatkową robotę, żeby mieć na wpisy dla malców. Tak samo późnym wieczorem przychodzą klientki, albo wraca brat starszy, podpora rodziny. Tak samo są sublokatorki, tylko w innych pokojach. Nie wszczynają wpraw-

dzie, bójek i kłótni, ale grają, śpiewają, tańczą nieraz późno w noc. Są u siebie. Kto im zabroni?...

* * *

Zimno. Mroczno. Śnieg pod oknami, albo kałuże nie do przebycia. Pędzi z tornistrem na plecach dziecko z jakiejś willi podmiejskiej na pociąg. Ktoś starszy pogania przez uchylony lufcik, żeby się nie spóźniło. Albo niekiedy cała rodzina — ojciec, matka do biura, dzieci do szkoły brodzą z latarkami po błocie w ciemnościach. Godzina, dwie jazdy. Powrót — każdy oddzielnie. Dom rozbity. Krótka chwila wieczorna razem. Ale oczy się kleją. Słowa więzną w gardle. Jedno, życzenie: spać spać!...

Głośny dzwonek nastawionego zegara budzi wszystkich o piątej rano. Znowu dzień w męce niedospania. Znowu marzenie: Ach, żeby już była niedziela!... Żeby wyjść na świat nie przy latarcel! Żeby nie spieszyć się na pociąg. Ah, budzić się bez piasku w oczach i bez tej głupiej ciężkości w mózgu.

C. . Walewska.



PODATKI NA URZĘDNIKÓW

Zarząd główny stowarzyszenia urzędników państwowych doszedł do wniosku, że „jedynym środkiem, prowadzącym do podniesienia uposażenia urzędników państwowych jest zwiększenie dochodów państwowych“. Przekonanie to wyraził w rezolucji, którą podał do wiadomości publicznej w charakterze postulatu. Inaczej mówiąc, zarząd w imieniu Stowarzyszonych żąda zwiększenia ciężarów podatkowych, aby skarb mógł zaspokoić potrzeby urzędników przez podniesienie uposażenia.

Trudno o krok bardziej rozpaczliwy.

Oznacza on przyznanie, że w ramach budżetu o dotychczasowej wysokości dochodów, postulaty urzędnicze nie dadzą się zaspokoić, że potrzeba na to nowych źródeł dochodów, czyli zwiększenia t. zw. ciężarów podatkowych.

Żyjemy w czasach demokratycznych, a to znaczy, że żaden rząd nie może robić tego, co uważa za właściwe, jeżeli nie pozyska dla swoich zamierzeń opinii publicznej. Żaden sejm nie zdobędzie się na uchwałę, idącą wbrew tej opinii. W demokracji nie wystarcza, aby coś było możliwe faktycznie i prawnie. Potrzeba jeszcze, aby było możliwe politycznie. Czynniki, mające formalnie władzę po temu, więc, jak w tym wypadku prawo inicjatywy i wydawania ustaw podatkowych, nie ustanowią nowych podatków nawet jeżeli by nie miały przewyższyć zdolności podatkowej kraju, o ile opinia publiczna nie będzie przekonana, że nowe podatki są konieczne

potrzebne dla dobra powszechnego, że opłaca się w ten, czy inny sposób ogółowi podatników.

Kto występuje z żądaniem zwiększenia ciężarów podatkowych, powinien wiedzieć, że opinia publiczna jest na to przygotowana, albo czuć się na siłach, że doprowadzi ją do tego przekonania.

Czy opinia publiczna jest gotowa do ofiar na rzecz poprawy bytu urzędników państwowych?

Stanowczo — nie.

Na to trzeba najprzód usunąć przyczyny, dla których społeczeństwo uważałoby te ofiary za ofiary bezinteresowne. Czynniki, piastujące władzę formalnie, rząd, a bodaj i sejm, można przekonać, że urzędnikowi jest tak źle, że nie może pracować wydawnie, że państwo na tem traci i t. d., ale społeczeństwo, te masy, które mają rzeczywisty, a przemożny wpływ na bieg spraw państwowych, a w szczególności na sprawy tego rodzaju, to społeczeństwo nie dało się przekonać i nie da się przekonać w dalszym ciągu. Kto nie chce chować głowy w piasek, ten wie, że te masy uważają, 1) że urzędnicy za mało pracują i 2) że i ta ich praca jest zbyt cenna w znacznej mierze.

Bułoby próżnym trudem rozważać tutaj, o ile to przekonanie jest niesłuszne, a o ile uzasadnione. Wiemy wszyscy, że częściowo tak, częściowo przeciwnie, a ci, którzy w tej sprawie chcą działać skutecznie, powinni wiedzieć, że jałowym trudem jest reflektowanie podatnika, że słuszność ma w części mniejszej. Trzeba się starać usunąć, to co jest złe, trzeba się

starać usunąć to, co o tem złem mówi najgłośniejszy, czyli razi, słowem trzeba poprawić opinię urzędnika i urzędu. Urzędnika, że pracuje. urzędu, że spełnia czynności niezbędne.

Pierwszego nie dokonają rozporządzenia, ani okólniki. Trzeba wśród urzędników szerzyć ambicję opinii ludzi pracowitych. Trzeba z biur wypłenić panujący tu i ówdzie nastrój kwietyzmu, ożywić tempo pracy.

Trzeba dbać o niedawanie złych pozorów.

Wymienię tylko jeden drobiazg: obywatel, który czeka kolejki, nie znosi widoku urzędnika, pijącego herbatę, a zwłaszcza pijącego herbatę powoli. Człowiek musi się napić czegoś gorącego w biurze, jeżeli siedzi tam 7 godzin. Człowiek ten nie musi jednak pić przy okienku. Trzeba go przez ten czas zastąpić.

Ważniejsza jest sprawa celowości pracy urzędniczej. Wymienię znów tylko przykład, widoczny z drugiej strony okienka. Kiedy wymieniano boni skarbowe jednej serii na drugą, posiadacz bonów musiał podać swoje nazwisko, miejsce zamieszkania, a papierek, na którym to było wypisane obok ilości bonów i sumy, na którą opiewały, wędrował w oryginale w jedno miejsce, w kopii w drugie, i tu i tam coś na jego temat odnotowywano, obywatel musiał długo czekać, aby wreszcie w drugim, a prawie napewno w trzecim (dobrze nie pamiętam) otrzymać nowy bon. I to wszystko w tem samym biurze, w którym za ten sam bon mógł na życzenie dostać gotówkę wprost od kasjera bez żadnych notowań „z rączki do rączki“. Daję przykład z czasów dawniejszych gwooli obiektywizacji, co przecież nie zmniejsza jego wartości, bo dzisiaj jest tak samo w tysiącu innych okoliczności. A gdybyśmy spojrzeli poza okienko? Ileż to czasu traci się na wypisywanie po parę razy tych samych np. wpływów, których nota bene możnaby wcale nie zapisywać, zastępując gotówkę markami stemplowymi. A ile tysięcy—podkreślam tysięcy—ludzi zajętych jest stale wypisywaniem takich wiadomości, jak imię ojca i matki, miejsce urodzenia obywatela i t. p., z każdej okazji tak ważnej, jak jego przyjazd i wyjazd z Pipidówki. Ktoby wątpił, czy to potrzebne, niech skontroluje te wiadomości o sobie. Z największą pewnością znajdzie w każdym meldunku jakiś błąd. Na co komu są potrzebne takie wiadomości, prowadzone notorycznie źle! a prowadzone dlatego źle, że wszyscy, co je prowadzą, mają pełne poczucie bezcelowości tej pracy.

Bez poprawy w tych dwóch dziedzinach, w opinii o pracowitości urzędników i o celowości ich pracy nie może być zmiany w stosunku opinii publicznej do sprawy urzędniczej. Nie miałyby zapewne nic przeciwko temu, gdyby państwo „dorobiło się“ na wydajności podatków i opłat dotychczasowych i przedsiębiorstw i zwiększyło uposażenie urzędników bez powiększania ciężarów podatkowych.

Na nowe ofiary nie będzie się chciała zgodzić. Że jednak ta poprawa nie da się zdobyć z dnia

na dzień, zachodzi pytanie, czy rebus sic stantibus nic nie można poradzić?

Owszem, można. Na tych drogach, które są na razie dostępne.

Jest szereg drobnych ulg, jakie państwo może urzędnikowi wyświadczyć bez naruszania równowagi budżetowej. Więc przedewszystkiem zwolnić go od niektórych wydatków nadzwyczajnych (w nieszczęsnym budżecie urzędniczym tak się nazywają wszelkie wydatki nie comiesięczne) nie na komorne i życie.

Jeden, to opłaty szkolne. Teraz w listopadzie przypada termin na kilka dziesiąt złotych od dziecka. Proszę zważyć, co to za klęska dla urzędnika pobierającego choćby wyższe kilkaset złotych, zapłacić choćby za dwoje dzieci. Nie mieści się ten wydatek w jego budżecie. A w budżecie państwowym łatwiej o wyrównanie tego deficytu, niż o powiększenie pensji o grosz na punkcie. Drugi, grożący niektórym już rychło, prędzej czy później każdemu. To wydatek na kolej. Każdy urzędnik wyjeżdża z rodziną na odpoczynek letni, wielu może wysłać gdzieś dziecko i na święta, każdy ma jakiś wyjazd w ciągu roku. Trzeba dać i jemu i rodzinie ze trzy przejazdy całkiem darmowe oprócz tej zniżki, jaką posiada. Budżet państwowy nie odczuje zbyt tej ofiary, bo nie wymaga żadnych wydatków szczególnych, ale trzeba dać przejazd prawdziwy, nie taki, jak np. uczniom szkół. Ci mają zniżkę tylko na trzecią klasę i tylko na pociąg osobowy. Dobrze to dla młodszych i na bliski dystans, ale jechać np. do Lwowa osobowym, to znaczy i wydać na jedzenie drogie i niehygieniczne i... mieć poczucie parjasa, któremu nie jest dane korzystać z najpospolitszych zdobyczy cywilizacji nowoczesnej.

To są ulgi dla urzędnika, które państwo nie kosztują nic bezpośrednio, a bardzo niewiele pośrednio.

Gdyby dodać do tego nieznaczne powiększenie wydatków na urzędników, a użyć go dobrze, możnaby osiągnąć ulgę bardzo znaczną. Na to trzeba dawać tym, co tego szczególnie potrzebują z w okolicznościach, w których im tego szczególnie potrzeba. Więc płacić na wpisy w szkołach prywatnych większą część, więc dawać na rodzinę mniej śmieszny dodatek, zwłaszcza urzędnikom wykształconym, bo wiadomo, że ci wydają i absolutnie i stosunkowo więcej na dzieci, więc dawać na mieszkanie co się obiecało znów chociaż tym, co notorycznie nie mogą mieszkać w jednym pokoju, więc dawać rzeczywistą pomoc lekarską zawsze i wszędzie, a nietylko tu i ówdzie, więc dawać na choroby i pogrzeby nie pożyczki a zapomogi, bo teraz urzędnik po takiej klęsce popada w położenie bez wyjścia, a wreszcie dawać dwa razy do roku — na wiosnę i na jesieni dodatek na ubranie dla urzędnika i dla rodziny.

Stawiając żądania tego pokroju sędzę, że można osiągnąć wynik dodatni: ulgę na razie, a poprawę w przyszłości.

J. S.



ANNA SŁONCZYŃSKA.

ZACHÓD SŁOŃCA

*Kula słońca: ogromna, purpurowa, ognista,
wśród przestworzy, jak przeszkoda, utkwiała nieruchoma,
i wisi — nietrzymana niczyjemi rękoma —
ak cud zbytku, z którego żaden człowiek nie korzysta.*

*Nie spadnie ciężko, jak piłka czerwona ku ziemi,
nie frunie do góry lekko, niby balon czerwony —
lecz skry z wrzącego wnętrza miota na wszystkie strony,
pożar powietrza wzniecając kroplami różowemi.*

*Świeci, jak żywa lampa, palona dla zabawy
ludzkich oczu, której wiatr najpotężniejszy nie stłucze:
dopiero gdy ptak nocy, rozwiawszy skrzydła krucze,
uderzy o nią — rozprysnie się na bryzgów deszcz krwawy...*

W SAMOCHODZIE

*Pędzimy! Nasz samochód, niby śmierć, ściga
uciekającą przestrzeń, a my ją ścigamy z nim razem!
Świat nie stoi, świat nam przed oczami miga,
niby żywy film, przesuwający obraz za obrazem!*

*Z pod naszych wściekłych kół — w podrygach i skrętach —
wyskakuje, jak wąż — szalona od przerażenia szosa!
Pejzażu ciągłość, mieczem drogi przecięła,
także od lęku drżąc, z dwóch swych stron patrzy ku nam z ukosa!*

*Niebo ku nam się zniża, zniża: z łoskotem
upaść chce, zamknąć nas nakształt turkusowej trumny wieka!
A morze — płynąc wpoprzek — jest modrym pasem,
który czyjaś dłoń przez zielone drzew mereżki przewleka!...*

TANIEC ŚWIATŁA NA MORZU

*Iskry słońca po morzu chodzą nieśmiało, chodzą łagodnie, chodzą posuwicie,
że ciało wody od kroków nie drży, że z pian nie tryska — złoty pył.
Nagle — złotemi stopami po wodnem lustrze zaczynają ślizgać się z całych sił:
szeroko, i szybko, i nerwowo, i mocno, i zamaszycie*

*Iskry słońca między morzem a niebem — nakształt miotanych złotych strzał, skaczą lekko:
pod chmury, znów na wodę, znów pod chmury, i znów na wodę — bez tchu.
Nagle — ustawiają się na złotych swych palcach i biegną po wodzie: już były tu,
a już są gdzieś od nas — daleko, daleko, daleko, daleko.*

*Iskry słońca płyną po morzu, leżąc na niem płasko, niby rząd złotych krzyży,
ramieniem fali podnoszonych, opuszczanych — własnej woli wbrew.
Nagle — rozwijają swe migocące skrzydełka: podobne do stada złotych mew
lecą w dal — coraz to wyżej, coraz to wyżej, coraz to wyżej...*

F O N T A N N A

*Białe rzędy zimnych kropel wytryskują, niby perły podrzucane ręką do góry,
i spadają, lejąc się białemi strugami, jak przesiewane przez palce — pereł sznury.*

*Białe rzędy zimnych kropel wykwitają, niby łodygi z brylantowych naszyjników,
i spadają, jak naszyjnik zerwany — brylantową muzyką swych tęcz, swych łez, swych krzyków*

*Białe rzędy zimnych kropel wyrzelać, jak żywe srebrne węże, całe w syku zgielkach,
i spadają z brzękiem, jak zbite lustro — rozstraskując się na lusterka, na szkła, na szkiełka.*

*Białe rzędy zimnych kropel wybuchają, jak przewrotny deszcz, co w niebo uderza płaczem,
i spadają, niby deszcz zwyczajny — na mokrą mgłę rozpylony pośpiechu rozpylaczem.*

P A M I Ę T N I K



Niusia bardzo lubi chwilę przyjazdu mamusi z wizyty. Lubi, kiedy zdejmuje ostrożnie jedwabną suknię, w której wygląda jak obca pani, zakłada szlafroczek i jest znowu dawną, kochaną mamusią. Oboje z ojcem idą potem do jadalnego pokoju, piją gorącą herbatę i rozmawiają o wszystkim, co działo się na wizycie. Niusia też zasiada przy stole, podsuwa rodzicom cukier, ciastka i słucha z zainteresowaniem rozmowy. Jest szczególnie ciekawa dzieci tych państwa i chce wiedzieć o nich wszystko: czy ładne, czy grzeczne i jakie mają imiona. Jeżeli to są znajome dzieci, dopytuje się, czy mamusia ucałowała je od niej, czy obiecały przyjechać i kiedy.

Zdarza się jednak, że Niusię spotyka przykrość przy tej rozmowie. Naprzykład, kiedy mamusia mówi, że widziała zeszyty dziewczynki w jej wieku, bardzo czysto i ładnie napisane. Niusia bazgrze, jak kura patkiem i zdaje się jej, że mama umyślnie to opowiada, aby ją zawstydzić. Albo, że dziewczynki deklamowały przesłiczne wierszyki, że tańczyły solo nowy taniec. Ona nie lubi popisów, trzepie strasznie prędko i jest niezgrabna. Czuje się upokorzona i zazdrości z całej duszy tym mądrym rówieśnikom. Boli ją przekonanie, że wszystko robi najgorzej i nigdy nikomu nie dorówna. Ale najwięcej boi się rozmowy o robotkach. Wszystkie dziewczynki w okolicy robią trudne, ładne robotki. haftują poduszki i serwetki, same szyją suknie dla lalek. A ona? Od pół roku siedzi nad wybrudzoną kawałkiem kanwy i dłubie krzywe, czerwone krzyżki.

Nie cierpi robot i gdy ją do nich zmuszają, odczuwa zaraz ból głowy i niechęć do życia. Uważa to za stratę czasu, który można daleko lepiej spędzić nad ciekawą książeczką lub „Mojem pisemkiem“, uważa za wielką niesprawiedliwość to, że musi ślęczeć nad robotą, gdy chłopcy mogą bujać po ogrodzie w słońcu, wśród drzew i kwiatów. A mama tak często opowiada właśnie o tych zniecierpliwionych robotach...

Pewnego razu jednak rodzice przywieźli bardzo ciekawą nowinę. Dziewięcioletnia Zosia Ruczyńska pisze pamiętnik. Zapisuje wszystko, co robi i oczem myśli. Niusia jest tem zachwycona, oszołomiona. To nie tańce, nie kaligrafia i nie robotki — to jest naprawdę godne podziwu! Jak to musi być przyjemnie — pisać pamiętnik, opisywać to, czego nikomu nie można powiedzieć.

Przez całą noc Niusia o tem myśli i nie może zasnąć. Nie przytłacza jej tym razem wyższość rówieśnicy, przeciwnie porywa ją i cieszy odkrycie, że mała dziewczynka może pisać pamiętnik. A może i ona potrafi? Może to nie tak trudno? Przecie pisuje wiersze... Pierwszy wiersz wymyśliła, gdy miała lat siedem. Było to w wigilię Nowego Roku. W jadalnym pokoju ustawiano właśnie wino, kieliszki i ciasteczka w oczekiwaniu 12-ej godziny, a Niusia chodziła po ciemnym salonie i coś jej w sercu szeptało, grało, śpiewało. I nagle sama wybiegła jej na usta zwrotka: „Nowy Roczek się zbliża, stary się przed nim unia“ — a potem druga: „Do ziemi się kłania i cofa wstecz, stary roczku, stary, idźże sobie precz!“. A potem inne, wciąż nowe napływały do głowy, i Niusia uczyła się ich tylko na pamięć. Z ostatnią poszło najtrudniej, bo nie mogła w niej zmieścić wszystkich słów. Brzmiała tak: „Nowy Roczku, Nowy, błogosław ten dom, niech weń nigdy nie uderzy Boży grom“. Czuła, że to jest

nie gładko, że słów jest za dużo, a nie mogła wyrzucić słowa „Boży“, ani słowa „nigdy“, gdyż oba były ważne. Bo Niusia nie myślała o gromie z burzy, tylko właśnie o Bożym, i żeby „nigdy“. A potem, kiedy wilki przegryzły gardło kochanemu Napadowi, który pochodził z Syberji i miał długą, białą falującą sierść — Niusia napisała smutny wiersz o jego śmierci. I jeszcze kilka innych. Nie jest z tego dumna, bo to bardzo łatwe, ale nie słyszała, aby którakolwiek ze znajomych dziewczynek pisała wiersze.

Umie też wymyślać bajki i opowiada je sobie pod kołdrą, gdy wszyscy już śpią, albo młodszemu braciszкови w długie wieczory zimowe. Oboje drżą ze wzruszenia w czasie przygód królewiczów i królewien i boją się naprawdę, gdy grozi im niebezpieczeństwo. Wszyscy bohaterzy są cudni, mają ładne imiona i wspaniałe stroje. Gdy bajka się kończy, żalują oboje, że muszą się z nimi rozstać, i często Niusia wymyśla dalszy ciąg, aż do starości rycerzy i księżniczek. A potem opowiada o ich dzieciach. Jedna bajka p. t. „Przemyślenie Okręcika“ ciągnęła się cały rok.

A ile razy Niusia napisze list do babci lub cioci, mama zawsze ją chwali, że dobrze. Więc może i pamiętnik napisać potrafi? Może nawet lepiej, niż Zosia Ruczyńska? Lepiej, niż którakolwiek dziewczynka na świecie? O, gdyby tak było, Niusia wyrzekłaby się wszystkich innych umiejętności i nie zazdrościłaby nikomu. Niechby już wszystko inne robiła najgorzej...

Postanawia zacząć od jutra i układa sobie początek. Dobiera najładniejszych słów, jakie słyszała lub czytała, przypomina sobie różne obrazy i własne sny. To będzie jej arcydzieło, ale nie pokaże go nikomu. Gdy skończy, zakopie w najdalszej części ogrodu i przywali kamieniem. A kiedyś, po latach, gdy ona już umrze, znajdzie go przypadkiem, bawiąc się w tem miejscu, inna dziewczynka. Ucieszy się, zanieśie go do domu i pokaże starszym. Wszyscy się zdziwią, że to mała dziewczynka pisała, i będą zachwyceni pamiętnikiem.

Nazajutrz Niusia nie uważa wcale na lekcji. Nic nie umie i nic nie może zrozumieć. Panna Helena gniewa się, irytuje, ale Niusi to nie martwi. Jest taka szczęśliwa, taka wesoła, że nie może usiedzieć na krześle. Zrywa się co chwila, całuje pannę Helenę w oczy, w szyję, przeprosza i przyrzeka, że jutro pójdzie lepiej. A dziś nie może, bo ma „tajemnicę“. Nauczycielka kiwa głową, gdyż wie, że Niusia ma codziennie jakąś nową tajemnicę.

Po skończonym obiedzie Niusia wybiera najładniejszy zeszyt w błękitnej okładce, wypisuje na niej dużymi literami: „Pamiętnik“, odkrywa pierwszą, białą stronicę i zamysła się.

Szuka w pamięci odpowiedniego imienia. Bo imię, to ważna rzecz, i musi być śliczne. Nie napisze przecie, że nazywa się Niusia. Już wiel! W salonie leży książka p. t. Ijola. Nie czytała jej, ale słyszała rozmowę mamusi z gośćmi o tej Ijoli. Była to śliczna, młoda pani, która chodziła po murach w nocy księżycowe. Wyobraża ją sobie bladą, w ciemno-fioletowej sukni, przykrytej srebrną gażą. Niusia źle sypia, gdy księżyc świeci w okno, a parę razy snuła się we śnie po domu podczas pełni. Lubi bardzo fioletowy aksamit i srebro. Bez dalszego wahania pisze w zeszycie:

„Nazywam się Ijola, choć nikt o tem nie wie. Sama sobie nadałam to imię, bo zupełnie do mnie pasuje. Wogóle jestem inna, niż się wszystkim wydaje, ale zaczarowała mnie tak zła wróżka. Dopiero w no-

cy, gdy się położą, odzyskuję swą postać. Mam złote włosy do samej ziemi i fioletowe oczy z czarnymi rzęsami. Ubieram się w jedwabne lub aksamitne sukienki najcudniejszych kolorów, wysadzone drogiemi kamieniami. Co noc inaczej. Mam dużo służebnic, które robią wszystko, co tylko zechcę. Jeżeli w dzień czytam ładną książkę o dalekich krajach, to w nocy jadę tam i widzę wszystko doskonale: góry, morza i puszcze. Latem, kiedy ogród kwitnie i pachnie, spędzam noc z elfami; najczęściej lubię spać w krzaku żółtej róży, który mnie wcale nie kłuje.

Byłam parę razy w podziemiach wielkoludów i nic złego mi nie zrobili. Wszyscy kochają mnie i podziwiają, bo jestem piękna, dobra i wszystko umiem. Nie tak, jak w dzień. Mam śliczny głos i gram na harfie tak, że ci, co słuchają, muszą płakać z zachwytu. Tańczę lekko, jak piórko, a nieraz unoszę się w powietrzu, i z ramion wyrastają mi skrzydła.

Chodzę często do biednych dzieci, o których słyszę lub czytam w smutnych książkach i rozdaję im ładne ubrania i smaczne rzeczy do jedzenia. Są uszczęśliwione, całują mnie i ściskają.

Rodzicom ich daję tyle pieniędzy, aby im wystarczyło na całe życie. Mogą już nie pracować, bo dość się namęczyli.

Jeżeli ktoś dobry w powiastce umiera, to póty proszę Boga, aż mu znowu pozwoli żyć. Jak się cieszą ci, co go kochali! Ale muszę dalej wymyślać historję o nim, bo gdy przestaje, to znowu umiera.

Ale najważniejsze jest to, co zrobię kiedyś. Znajdę takie lekarstwo, że ludzie nie będą chorować, ani umierać, znajdę skarb, którym obdzielę wszystkich ludzi i jeszcze zostanie na potem. I za to ludzie z całego świata obiorą mnie na królową. Ale ja odstąpię tron tatusiowi, lub braciszcowi, którego kocham najbardziej. A sama będę się bawiła i czytała dziecinne książki, bo nie chcę być nigdy dorosłą...

Niusia pisze, pisze, a policzki jej pałają. Czuje, że jej się udaje, że pisze tak, jak trzeba i o tem, co jest naprawdę.

Właśnie taką, taką jest Niusia, gdy jej nikt nie widzi. Nikt jej nie rozumie, nawet braciszek, któremu opowiada bajki. Ale teraz ma pamiętnik i opowie mu te rzeczy piękne i tajemnicze.

I dziewczynka, która znajdzie zakopany pamiętnik, zachwyci się napewno. Czuje, że Zosia Ruczyńska nie pisze tak ładnie, jak ona, na którą ciągle gniewają się za to, że jest nieroztropna i roztrzepana. Nic dziwnego, że nie umie trzymać igły w ręku, nalać szklanki herbaty, ani znaleźć zgubionych kluczków, bo to jest nudne i nic ją nie obchodzi. Ma tyle ciekawych rzeczy w głowie, o których musi myśleć, ale starsi nie znają się na tem i odrywają ją wciąż do tego, co jest o wiele mniej ważne. Gdyby jednak przeczytali „Pamiętnik“ i dowiedzieli się całej prawdy, — myśli Niusia, — może daliby jej spokój i nie przeszkadzali marzyć. Może byliby nawet z niej dumni...

Po krótkiej walce ze sobą postanawia pokazać pamiętnik mamusi w wielkiej tajemnicy.

Przez całą godzinę czeka na odpowiednią chwilę i wreszcie, gdy mamusia jest sama w pokoju, idzie do niej z zeszytem w rękę i mocno bijącym sercem w piersiach. „Mamusiu — mówi cichutko — zaczęłam pamiętnik. Ale pewnie jest dużo błędów“ — i podaje go, a sama staje za krzesłem i opiera się na poręczu. Fartuszek w miejscu, w którym dotyka kolan, drży i chwieje się lekko.

Mama czyta uważnie, a Niusia śledzi z niepokojem wyraz jej twarzy. Wtem, co to? O Boże! Mamusia śmieje się... śmieje się z „Pamiętnika“. Pod Niusią kolana się uginają, a serce przestaje na chwilę bić.

— „Ależ dziecko! To nie pamiętnik, tylko jakieś wymysły“ — mówi mama — „w pamiętniku należy opisywać to, co się dzieje naprawdę, naukę, zabawy, różne zdarzenia z życia. O ileż możesz napisać bajkę, jeżeli chcesz, ale pamiętnik musisz pisać o Niusi“.

Niusia nie odpowiada, bo jej się zbiera na płacz. Bierze z rąk matki pamiętnik i prędko wybiega z pokoju. Duszę ma pełną żalu i gniewu. Przecież ona nie kłamała! Pisała prawdę. Czyż miała pisać o tem, że nie mogła rozwiązać zadania i zrobiła 7 błędów w dyktandzie? Albo o tem, że na obiad była cytrynowa zupa, której nie lubi? Ależ to nieciekawie i ona ma tego dość przez całe życie. Jeżeli tak trzeba pisać pamiętnik, to ona nie chce i nie napisze więcej ani jednego słowa. Spali go, tak, spali dziś jeszcze. Biegnie do dziecinnego pokoju, gdzie przed chwilą służąca rozpałała w piecu i rzuca błękitny zeszyt w ogień, pomiędzy trzaskające drwa. A potem przysiadła na podłodze i patrzy w płomienie.

Ogarniają już błękitną okładkę, i serduszek Niusi ściska się bolesnie. Ale chce patrzeć do końca. Kartki odwracają się jedna po drugiej, jakby po to, aby mogła jeszcze raz na nie spojrzeć. O, teraz pali się tu, gdzie jest napisane: „mam złote włosy“, i literki stają się naprawdę złote, a inne mienią się różowo, błękitnie i liljowo, jak drogie kamienie. Jasne, roztańczone płomyki całują każdy wiersz, każde słowo, a figlarne iskierki skaczą po nich, jakby się chciały bawić. Jaką piękną śmierć ma „pamiętnik“! Ogień szumi dokoła i gwarzy, jakby sam opowiadał bajkę. Może on rozumie, co tam napisane, może mu to się podoba? Niusia zapomina o żalu i gniewie. Zdaje się jej, że jest jednym z płomyków, które tak nagle gasną, a za chwilę znów rozbłyskują radośnie. Wyciąga przed siebie dłonie, aby przez nie blask przeświecał i patrzy długo na swe palce, różowe i przezroczyste, jak muszelki. Ogień szumi, jak morze — myśli — jak czarne morze, które widziała latem. Zdawało się jej wówczas, że jest zieloną falą, i czuła wielkie pragnienie rzucić się w bezmiar wód i rozpląnąć w niem. Jakaś moc radosna wzbiera w jej piersi, jakaś radość bezkresna zalewa ją całą. Napisze teraz nowe, śliczne opowiadanie o tem, że jest płomykiem, wędrującym przez świat wśród tysiąca przygód, a potem, że jest falą, która wie, co się dzieje na dnie oceanu, we wnętrzu koralowych pałaców.

I to będzie ładniejsze, sto razy ładniejsze od Pamiętnika.

Janina Tumińska.



PAOLO MANTEGAZZA

13

JEDEN DZIEŃ NA MADERZE

Emma do Williama

Londyn, środa 11

Dziś rano uczyniłam odkrycie i chcę donieść ci o niem natychmiast, gdyż nie mogłabym czekać do jutra, aż się zobaczymy. Byłam pochłonięta całkowicie zażywaniem rozkoszy, jakie daje nam serce, czego nauczyłam się od ciebie, słynnego libertyna w dziedzinie sentymentu. Przepisywałam właśnie list, pisany do ciebie wczoraj, i kopję umieszczałam następnie między dwoma z pośród twoich listów, jak to zawsze czynię od chwili, gdy się dowiedziałam, że ty tak czynisz. I, leżąc na sofie, przeglądałam ową księgę, która jest mi droższa ponad wszystko na świecie i czułam żywą radość, widząc, jak myśli moje spletają się miłośnie z twojami. Chwilami wyobrażnia podawała dłoń radości i wówczas zdawało mi się, że słowa moje, ucieszone tem, płasają szczęśliwe przed moimi oczyma.

Otóż, Williamie mój, odczytując całe stronic twoich listów i swoich, odkryłam, że mamy jeden i ten sam styl, że używamy nawet tych samych słów dla wyrażenia rzeczy jednakowych, że wreszcie możnaby założyć się, że ktoś obcy nie mógłby często odgadnąć, czyj jest list, który mu odczytano.

I zaledwie pomyślałam sobie o tem, zapragnęłam sprawdzić uczynione spostrzeżenie i, wyskoczywszy jak szalona z łóżka, pobiegłam do sąsiedniego pokoju, gdzie była ciotka Anna, by zaproponować jej taki zakład. Poczciwa ciotka roześmiała się, wyrażając zgodę na ów eksperyment.

Przeczytałam pół stronicy.

— No, któż to napisał, cioteczko?

— Emma.

A ja, śmiejąc się niepowstrzymanie: — Nie, to napisał William.

— A czyj jest ten drugi urywek?

— Och, to już jest Williama, bez wszelkiej wątpliwości.

— Kto z nas jest autorem oryginalnym, kto zaś skromnym naśladowcą? — Odpowiedz mi na to pytanie natychmiast, bez zwłoki. Wiesz, że przyrzekliśmy sobie nie widzieć się aż do jutra, posyłam ci więc Johna. Zaczeka on na odpowiedź, którą mu wręczysz.

Bądź zdrow, Williamie. Z nas dwojga jedno jest winowajcą, postaraj się wykryć go.

Dowidzenia. Odpisz natychmiast.

William do Emmy

Londyn, niedziela

Mówiłaś mi nieraz, Emmo, słodka moja Emmo, że mamy zawsze wspólne myśli, i że gdy dzieliłem się z tobą czemś, co było nowe i nawet niecodzienne, chwytalaś to w lot i zdawało ci się, że nie jest ci to obce, więcej nawet, że to tylko przypomnienie. Otóż, jeśli to prawda, jeśli fantasmagorie twojego serca nie unoszą cię w świat duchów, musiałaś wczoraj zegłować wraz ze mną przez wzburzone morze, musiałaś zmagać się ze strasznym orkanem, aż wreszcie, wyczerpana, lecz nie zwątpiała, schroniłaś się do przystani pocieszenia.

Wczoraj rano wstałem w złem usposobieniu, nie wiedząc sam z jakiego powodu. Lubo zmęczyłem mózg swój dociekaniem przyczyny tego, nie mogłem wytłumaczyć sobie, czemu widziałem wszystko po przebiegu śmiertelnym... Serce poddawało mi litości-

we kłamstwo, że smutny, bo nie widziałem cię od trzech dni, lecz miłość prawdy, z której uczyniłaś moją religję, mówi mi, że to przyczyna nie jest prawdziwa. Nieraz bowiem mijał tydzień i więcej i, choć cię nie widziałem, nie czułem owej męki dusznej, co mi wszystko pod palcami zmieniała w pokrzywy, a wszędzie, dokąd zwróciłem wzrok, ukazywała jakiś ohydny blask.

Wreszcie usunąwszy się do gabinetu, powiedziałem sobie: to dług cierpienia, jaki muszę spłacić w tem życiu. Gdy się człowiek rodzi, wypisują mu na grzbiecie liczbę, jak to czyni celnik z kuframi i pakami. To jest suma cierpień do spłacenia przed śmiercią. Głód, czy pogarda ludzka, ból zębów lub nieszczęśliwa miłość, dla przyrodzenia rzeczy to obojętne. Byłoby zostało uiszczony haracz, czy to łzami lub skurczem boleści, czy ołowianą niewolą, co kładzie się na serce bezgłośnie albo szarpaniną nerwów. A więc, powiedziałem, dzisiaj przyszedł do mnie egzekutor by zażądać należności — i zapłać... Niema uśmiechu nieba, ani błysku geniusza, ni siły woli, któraby zdołała rozwiać troskę wynikłą bez powodu w głębi naszych trzewi.

Zbliżyłem się do kominka, aby podsyć ogień: zaraz wstałem zniecierpliwiony, przeszedłem się tam i sam po pokoju i zatrzymałem się jak automat przed jedną z swych bibliotek. Nawprost moich oczu ukazał się Juwenal i Marcial. Zdawało mi się, że dotknął ciernia, wyciągnąwszy rękę po fijołek. Odwróciłem się gwałtownie na pięcie ku ścianie przeciwległej. — Ujrzałem przed sobą książkę o więzieniach w Howard. Zamknąłem oczy, nie chcąc już widzieć książek i pobiegłem ku oknu. Nieba nie było widać, gęsta mgła zakrywała wszystko, ledwo dostrzegałem jakiś zarys domu naprzeciwko. W owym mglistym bagnie słychać było zmieszane głosy przechodniów, lecz górował ponad niemi płacz dziecka — być może głodnego lub zziębniętego...

Mimo to wszystko nie poddałem się zniechęceniu, ty wiesz, Emmo, że zawsze lubiłem trudności. Chciałem zerwać łańcuchy, wiążące mnie ze światem smutku, zapragnąłem, że użyję obrazu wschodniego, zmącić ton morską sokiem ostromleca, by wyłowić potem z głębi — radość.

Nazwij mnie szalonym, lecz oto co uczyniłem w ciągu jednego kwadransa. Odczytałem dziesięć z pośród twoich listów najpogodniejszych i najweselszych, odegrałem na klawicymbale cztery wale strausowskie oraz przerzuciłem tom karykatur Chama. Potem, rzuciwszy się ku biurku, pochwyliłem za pióro, jak gdyby to był miecz zwycięstwa i zacząłem pisać rzeczy wesołe, aby przekonać siebie, że zwyciężyłem. Oto co napisałem:

Tak człowiek jest nieszczęśliwy: zrodzony na ból, fatalnem prawem przykuty do egzystencji, która go mierzi i której pragnie zarazem.

Niezdolny pozbyć się dręczącej go tortury, nie posiada odwagi śmierci, ani sztuki życia, potrafi tylko pomnożyć swe cierpienia i objąć mózgiem cały ich ogrom.

Umysł unosi go ku widnokręgom, których stopa nie zdoła dotknąć, serce pragnie ekspansji, podczas gdy dłoń żelazna je ściska.

Człowiek jest istotą najbardziej we wszechświecie niedoskonałą, nędzną i słabą.

I tu droga Emmo, wypuściłem pióro, które kilka chwil temu chwyciłem był zwycięsko, i uznałem się za zwyciężonego.

Ale w wyznaniu tem więcej było melancholji niż goryczy. walka bowiem podnosi człowieka, nawet gdy nie jest zwycięska, a pogardy godzin jest ten tylko, kto z walki rezygnuje i, nie stoczywszy jej, składa broń.

Wydaje mi się, że przekształciłem cierpienie w coś pożytecznego i wzniosłego już przez to samo, że poddałem je jarzmu swej myśli, że za pomocą pióra przełałem je na papier. Być może, powiedziałem do siebie: Emma znajdzie coś w tych ubogich myślach i moja depresja nie będzie złem absolutnem.

Wybacz mi te myśli egoistyczne. Później udało mi się, dzięki gimnastyce uporczywej i gwałtownej, przekształcić tę niedyspozycję w melancholję. Zdawało mi się, że dokonałem destylacji dymu i wyciągnąłem zeń ocet... wybacz mi ten żart. Melancholja jest wszak mniej szkodliwa i zła od tamtego nastroju i oto co napisałem przez ciebie natchniony:

Podaj mi swą dłoń, droga moja, bym czuł, żeś blisko mnie: wir życia przeraża mnie, nie mogę być sam.

Dokądkolwiek zwrócił się mój umysł, szukając prawdy, gdziekolwiek badał tajemnice życia, napotkał na przegrody. I, nie umiając zadowolnić się pustemi dźwiękami, któremi pieścili się inni, szczęśliwsi, stoczywszy zaciętą, a bezużyteczną walkę dla rozszerzenia granic, zakreślonych rozsądkowi ludzkiemu, padł osłabły i zgębiony.

Daj mi swą dłoń i uściśnij moją, abym czuł cię blisko siebie, bo nie mogę być sam.

Serce moje obudziło się we mnie, i nowe rozwarły się widnokreśli: śmiejące się wzgórza i łąki kwitnące, a ja wyciągnąłem ramiona, by objąć ten czarowny raj... Ach, mocniej jeszcze uściśnij, droga, dłoń moją, bo samo wspomnienie przeraża mnie i nie mogę czuć się sam.

Pocóż jednak rozdzierać ranę, zasklepioną od dni kilku? Walki beznadziejne rozumu, porażki mózgu ludzkiego dźwięczą, być może, dalekiem echem, co zadawała nasza dumę; lecz klęsk serca ludzkiego echo nie

przemija z czasem i powraca ciągle wraz z bólem niezmiernym.

O, droga moja, oprzyj swą dłoń na mojem sercu i uspokój jego wzburzone bicie. Spraw, bym nie czuł się sam.

Przez cały dzień wczorajszy męczyła mnie jedna tylko myśl: przetworzyć swe przeżycia w coś użytecznego lub pięknego.

Nawet gniew, nawet nienawiść i złe nastroje winny być przetworzone w siłę, wznoszącą człowieka ponad innych. Melancholja powinna stać się, dzięki potędze chemicznej woli, środkiem na nudę pospolitego tłumu oraz histerję samotnego geniuszu.

Spokojny sen pogrzebał moją rozterkę oraz marzenie alchemiczne, i dzisiaj piszę już z uśmiechem na ustach, spoglądając z niepommiernem zadowoleniem na błękit nieba, widzialny przez szyby okien.

Do widzenia, do widzenia po tysiącokroć!

Pomiędzy papierami Williama znalazła się kartka bez ścisłej daty zaopatrzona w nagłówek:

Któregoś dnia w Kwietniu

Rozchyliłem usta, by wciągnąć wonny powiew wiosenny i wydało mi się, że musnąłem wargi aksamitne Emmy.

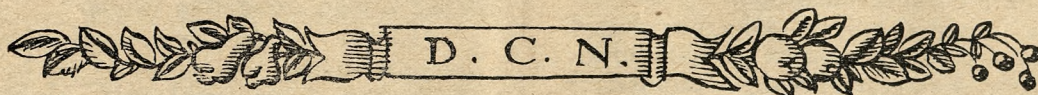
Zerwałem fiolet i wydało mi się, że jego aromat przeniknął mi aż do serca i poruszył najwrażliwszą strunę, jak gdybym znajdował się blisko swej Emmy.

We wspomnieniach swych i w nadziejach, w całej swej istocie znajdowałem tylko Ciebie, a wszystko przywoływało przedemnie obraz Emmy.

Nawet naczynia w mojem laboratorium, sztychy na ścianach i książki w szafach były to tylko zwierciadła, w których Emma, spojrzawszy przez chwilę, pozostawiła swój boski wizerunek.

We mnie i poza mną, w świecie materji i w dziedzinie ducha, we śnie i na jawie, w radości i w bólu, w spokoju i w gniewie, jedno tylko jest, co widzę i czuję — to Emma. Niczem jestem

bez niej i nie czuję poza nią, że żyję i myślę.



GARŚĆ WSPOMNIENI Z R. 1863

(Opowiedziała dla wnuków Izabela z Suheckich Kuncewiczowa)

Z powodu udanej choroby matki nastąpiła zwłoka w wysłaniu jej z Warszawy; zależało nam na tem, aby jej wyjazd opóźnić, gdyż wtedy mogła jechać sama, (a nie etapem) do Petersburga. Wyjazd nastąpił dopiero w początkach października; ja zostałam w Warszawie i miałam czekać wezwania.

W drodze do Petersburga, z porady osób kompetentnych, matka znów niby rozchorowała się i po przyjeździe do stolicy została umieszczona w pawilonie Domu Poprawy (Isprawitielnago Zawiedienija), gdzie lokowano chore przestępczynie polityczne.

Inteligencja i arystokracja petersburska w owe czasy współczuła bardzo więźniom politycznym, Polakom. Panie wychodziły z podarkami na ich spotkanie na dworzec, odwiedzały w więzieniach, nosiły

jedzenie, ubrania, w razie potrzeby—lekarstwa. W tych warunkach poznała matka moja p. Taniewską, Polkę, wdowę po generale rosyjskim Polaku. (Syn jej, pułkownik wojsk rosyjskich, musiał uciekać za granicę z powodu należenia do patriotycznych organizacji polskich).⁶⁾ P. Taniewska zajęła się sprowadzeniem mnie z Warszawy. Przysłała mi swoją fotografię, po której poznałam ją na dworcu w Petersburgu i zabrała mię do siebie.

W parę dni po przyjeździe udałam się do pp. Płatonowych z listem polecającym od ich syna,

⁶⁾ Mowa, prawdopodobnie, o podpułkowniku Aleksandrze Taniewskim, który brał udział w powstaniu styczniowym pod pseudonimami „Tetera“ i „Jastrzębiec“.

którego poznałam w Siedlcach, u Żukowych. Pp. Płatonowowie byli to obywatele z gub. Tulskiej, którzy z dwiema dorosłymi córkami spędzali zimę w domu swoim w Petersburgu. Oni mnie również otoczyli sympatją i opieką, nadto zapoznali z bratem swoim, ministrem Płatonowym. Przy jego właśnie pomocy zaczęłam robić starania o zmianę wyroku, skazującego matkę moją na zesłanie do Syberji, na inny, łagodniejszy, t.j. na zesłanie do gubernij wewnętrznych Rosji. Zrobiłam podanie na najwyższe imię, t. zn. do cesarza, Aleksandra II, które wręczyć mu miałam na audjencji, w chwili wskazanej mi przez ministra Płatonowa. Młodzieńcza niecierpliwość sprawiła jednak, że skorzystałam z pierwszej sposobności spotkania się z cesarzem i uczyniłam krok, który podobno mógł mieć fatalne następstwa dla mnie, a co gorzej dla osób, którym tak wiele zawdzięczałam. O tem jednak dowiedziałam się dopiero później.

Rzecz tak się miała.

Umarła frejlina⁷⁾ katoliczka; na nabożeństwo, do kościoła Św. Katarzyny, udał się cesarz z rodziną i całym dworem. Za imiennymi biletami wpuszczano dygnitarzy, a na skutek starań pp. Płatonowych weszłam z nimi i ja. Stałam wśród liczego grona osób, stanowiących dwa skrzydła, przy wyjściu z kościoła i, gdy ujrzałam zbliżającego się cesarza, wyciągnęłam rękę i podałam mu papier, zawierający moją prośbę.

Na ten widok zrobiło się zamieszanie, rodzina Płatonowych odsunęła się ode mnie i ukryła wśród obecnych... Na szczęście trafiłam na dobrą chwilę; cesarz spojrział na mnie, uśmiechnął się i skinął na adjutanta, żeby przyjął podanie.

Rezultat był nad wyraz pomyślny. Nie tylko uzyskałam pożądaną zmianę wyroku, ale mogłam wybrać między Bobrujskiem i Pawłowskiem (nad Donem — na południu Rosji). Wybrałam Pawłowsk.

W końcu listopada 1864 r. nadeszła chwila wyjazdu z Petersburga. Wystarałam się o pozwolenie odbycia drogi nie etapem, kibitką, lecz koleją do Moskwy, w asyście 2 żandarmów. Po opłaceniu na ten cel 300 rb., wyjechałyśmy z matką, żegnane serdecznie przez naszych petersburskich przyjaciół i zaprowadzane przez nich suto na drogę.

Wspomnieć tu muszę o opiece, jaką nas darzył w podróży przygodny znajomy student p. Białopolski. W Moskwie zajął się wystaraniem się o tarantas,⁸⁾ abyśmy wygodnie dojechały do Woroneża. Krótką jednak była nasza radość z tego ekwipażu, po kilku godzinach strasznej drogi woźnica (jamszczyk) oświadczył, że dowiezie nas tylko do najbliższego postoju, zwróci nawet zadatek, a dalej nie pojedzie. Przykrym był dla nas ten zawód, gdy dalszą drogę odbyć musiłyśmy kibitką.

Nie będę wspominać o trudach drogi, noclegach w izbach brudnych, pełnych karaluchów i innego robactwa! Są to rzeczy wstrętne i z opisów zanadto znane, opowiem tylko o fakcie, który mile zapisał się w pamięci mojej. Po przybyciu na kilkogodzinny wypoczynek do miejscowości, której nazwy dziś już nie pamiętam, rozgrzewałyśmy się w zajeździe herbatą i rozmawiały (naturalnie po polsku), słysząc to dwaj siedzący przy sąsiednim stoliku starsi panowie skoczyli do nas, zaczęli łamaną polszczyzną witać, całować nas po rękach, twarzach i rozpytywać o nowiny z kraju. Byli to zesłańcy z 1830 roku. Mimo protestu żandarmów, opowiadałyśmy im o nadziejach, walkach, ofiarach a oni słuchali chciwie i łzy spływały po ich twarzach. Przy pożegnaniu otulili nasze nogi swoją wilczurą,

abyśmy w drodze nie cierpiały wskutek zimna. Do niedawna przechowywałam to futro, jako pamiątkę.

Ale jedźmy dalej:

W połowie grudnia dotarłyśmy do Woroneża. Tu nastąpiła zamiana żandarmów i po paru dniach choroby, wskutek zacczadzenia w hotelu, wyruszyłyśmy do odległego o 300 wiorst Pawłowska.

Zdrożone, zgnębione, przybyłyśmy przed świętami Bożego Narodzenia do miejsca naszego przymusowego pobytu. Żandarmi oddali nas pod opiekę miejscowego isprawnika⁹⁾, i uwolnione od nich udałyśmy się do zajazdu. Dowiedziałyśmy się tam, że w Pawłowsku jest już dwóch wygnańców, więc dałam im zaraz znać, że przyjechały Polki z Warszawy. Przyszli do nas niezwłocznie. Jeden z nich był to profesor uniwersytetu petersburskiego, członek Rządu Narodowego, Stanisław Łaguna¹⁰⁾, późniejszy redaktor czasopisma „Atheneum“ w Warszawie), drugi — doktor Adolf Kuncewicz... późniejszy mąż mój.

Bóg widocznie kierował wyborem moim. Pawłowska, jako miejsca zesłania, tam bowiem poznałam ukochanego człowieka, tam wyszłam za mąż, tam przybyło czworo naszych dzieci, tam wreszcie spędziłam najszczęśliwsze chwile mego życia. Przychodziły wprawdzie okresy szalonej tęsknoty do kraju, ale ból zatarł się w moich wspomnieniach, a tylko chwile szczęścia jaśnieją, i gdy o nich wspominam, łzy wzruszenia przysłaniają moje stare oczy.

Liczba wygnańców w Pawłowsku stopniowo się zwiększała. Przedewszystkiem przybył inżynier Romuald Kułakowski z żoną i dziećmi. Wielka przyjaźń nawiązała się między nimi i nami, śmierć ich obojga dopiero ją przecięła, a o ich dzieciach wspominam dziś tak serdecznie, jak o swoich. Przybyli następnie: Borkowski, obywatel z Podola; Lewandowski, obywatel z Wołynia, hr. Grocholski, St. hr. Zamoyski i wielu, wielu innych, ludzi różnej sfery, tak, że wkrótce kolonja polska wzrosła do 60 osób.

Dzielił z nami wygnanie i Bolesław Limanowski wraz ze swoją późniejszą małżonką, Wincentyną Szarską. Wiele miłych i serdecznych wspomnień łączy się z jego czcigodną osobą.

Jedność wśród wygnańców była wielka. Bez zwracania uwagi na różnice wychowania, poziomu umysłowego i wykształcenia, zbierali się wszyscy wieczorami kolejno to w domu inżyniera Kułakowskiego, to w naszym. Wtedy i służba nasza (wygnańcy) była naszymi gośćmi, którym usługiwaliśmy na równi, jak i innym.

I minęło wszystko!.. Minęły walki, minęły cierpienia, zostało tylko wspomnienie i to wielkie uczucie radości oraz triumfu, że krew przelana nie poszła na marne.

Z gromadki wygnańców w Pawłowsku został przy życiu tylko senator Bolesław Limanowski — i ja. Inni nie doczekali zmartwychpowstania Ojczyzny, którą nad życie ukochali i dla niej cierpieli.

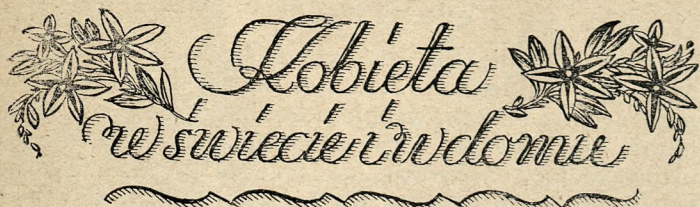
C z e ś ć ! m !

⁷⁾ Dama dworu.

⁸⁾ Rodzaj bryczki.

⁹⁾ Naczelnik powiatu.

¹⁰⁾ Stanisław Łaguna nie był członkiem Rządu Narodowego, kierował on tylko, w charakterze dyrektora, wydziałem spraw wewnętrznych od połowy kwietnia do połowy czerwca r. 1863.



ŚMIECH JAKO LEKARSTWO

Australijski „The Dawn” zamieszcza artykuł pióra jednego z bardziej znanych lekarzy tamtejszych, doktora Franka Crane, pod wyżej podanym tytułem.

Artykuł ten rozpoczyna się od słów: „Jest jedno lekarstwo na wszystkie bez wyjątku choroby, które chciałbym polecić całej cierpiącej ludzkości: lekarstwem tem jest śmiech.

Wypróbowałem działanie tego cudownego środka leczniczego najprzód na sobie samym, później na mojem otoczeniu i setkach moich pacjentów i pacjentek. Przekonałem się, że nie zawodzi on nigdy.

Podkreślam jednak, że nie chodzi tu o uśmiech tylko, o samo pogodne usposobienie. Jestto również środek bardzo cenny, jako lekarstwo na wszelkie choroby nerwów; nie ma, jednak, tak potężnego i uniwersalnego działania, jak prawdziwy, serdeczny śmiech ten śmiech, niczem niepohamowany, wybuchający, jak żywiołowe, świeże źródło górskie—śmiech aż do łez, aż do zmęczenia...

Taki śmiech jest najlepszym lekarstwem na wszystkie mikroby chorobotwórcze, zawiera on w sobie więcej siły leczniczej, niż siedem aptek, przepelniczonych lekarstwami wszelkiego gatunku i rodzaju.

Gdy człowiek wybucha takim właśnie zdrowym, serdecznym śmiechem, każda komórka jego organizmu odczuwa na sobie działanie tej dobroczynnej fali energii, jaka powstaje wtedy w jego ciele. Fala ta dociera aż do najdrobniejszych naczynek krwionośnych, krew zaczyna krążyć w jego żyłach szybciej i raźniej, a nawet według wszelkiego prawdopodobieństwa zmienia się jej skład chemiczny, wygląda to tak, jakby jakiś ożywczy prąd elektryczny przebiegł cały organizm, pobudzając wszystkie jego części składowe do wydajniejszej pracy.

Tyle—co do strony zasadniczej. A teraz kilka wskazówek praktycznych, z którymi zwracam się przede wszystkim do pań, gdyż te, niestety, śmieją się daleko rzadziej, niż panowie. Tak się to już jakoś utarło wśród płci pięknej, że osobie dobrze wychowanej przystoi tylko się uśmiechać, i to dyskretnie, ale śmiać się tak naprawdę, otwarcie i szczerze—stanowczo nie wypada! Otóż powiem wam odrazu, moje panie, że popełniacie wielki błąd, pozbawiając się dla jakichś urojonych przesądów tak potężnej dźwigni życiowej, jaką jest śmiech. Kto wam zresztą wmówił, że śmiech jest czemś niepowabnym, nieestetycznym, czemś, jak to nazywacie, „w złym guście? Spójrzcie na dzieci, jak one umieją śmiać się serdecznie, a jaki niezrównany wdzięk w tym dziecięcym śmiechu! Ale i dorośli często umieją także śmiać się ładnie, zwłaszcza kobiety. Jakże tego się nauczyć? spytacie. Jest na to jeden tylko sposób: śmiać się szczerze, niewymuszenie, swobodnie, nie zastanawiając się wcale nad tem, jak w tej chwili wyglądamy i czy nam z tym śmiechem do twarzy. Zapewniam was, moje panie, że gdy się nauczycie śmiać w ten sposób, przybędzie do waszej skarbnicy wdzięków jeszcze jeden, i to kto wie, czy nie najważniejszy, a wasi znajomi mówić będą o was z zachwytem: Co za miła osoba ta pani X i jak się ślicznie śmieje!

Na zakończenie parę dobrych rad, stosujących się zarówno do panów, jak do pań: Starajcie się nie tylko śmiać się sami, lecz i szerzyć kult śmiechu wśród swego otoczenia. Bardzo dobrym sposobem po temu są wesołe opowiadania, ale takie prawdziwe wesołe, nie pieprzne albo niesmaczne anegdoty, które tylko wywołują niezdrowy nastrój, ale nikogo naprawdę rozśmieszyć nie mogą. Chodzi tu o takie opowiadania, z których tryska zdrowy humor i dowcip, opowiadania, od których ludzie biorą się za boki. Jeśli znacie taką historję, nie trzymajcie jej pod korcem, lecz starajcie się opowiedzieć ją innym w sposób wesoły i dowcipny i tem pobudzić ich do śmiechu, a wtedy będziecie mogli doprawdy zasłużyć na miano dobroczyńców ludzkości!

JAK AMERYKANKI WALCZYŁY O SWOJE PRAWA

Niewtajemniczonym w warunki życia Yankesów zdawać się może, że tak postępowe i demokratyczne państwo, jak Ameryka, udzieliło swoim obywatelkom równych praw politycznych i obywatelskich bez żadnego z ich strony wysiłku. Tak jednak nie było: feministki amerykańskie musiały przeżyć kampanję nie mniej energiczną, niż ich siostry w Anglii.

O tej kampanji mówi nam artykuł działaczki amerykańskiej, panny Winter, drukowany w londyńskim „Time and Tide”. Autorka jego opisuje z werwą i humorem niektóre szczegóły propagandy feministycznej, w której sama brała żywy udział. Amerykanki, trzeba przyznać, wykazały w tej propagandzie o wiele więcej taktu i dobrego smaku, niż słynne sufrażystki angielskie, nieprzebierające swego czasu w środkach dla osiągnięcia swego celu. Szerzenie hasel feministycznych odbywało się głównie w Ameryce za pomocą t. zw. „Przemówień milczących”. Robi to wrażenie paradoksu, a jednak było tak rzeczywiście. Oto jak się to odbywało:

Podczas swej kampanji feministki amerykańskie rozesłały po całych Stanach Zjednoczonych swoje agitatorki, których większość—wbrew temu, co się zwykle o tem mówi i myśli—składała się z wyjątkowo urodliwych i młodych niewiast. Agitatorki te, mając już zgóry wykreślony rozkład podróży, objeżdżały miasta i osady, rozpoczynając w każdym miejscu od wynajęcia sklepu, możliwie przy najbardziej ludnym i ruchliwym punkcie. Na takim sklepie wywieszano szyld: „National Women's Party” (Narodowe Stronnictwo Kobiety) i czekano cierpliwie, aż zaciekawiona publiczność zacznie się przed sklepem gromadzić.

Gdy uznano, że publiczność jest już dość liczna, aby warto było rozpoczynać propagandę, agitatorka stawiała w drzwiach sklepu, trzymając podniesiony do góry transparent, na którym wypisane było jakieś zdanie z zamierzonego przemówienia. Oczywiście przyciągało to coraz liczniejsze tłumy publiczności, zainteresowanej tem niezwykłym zjawiskiem. Wówo kilku minutach, gdy już wszyscy przeczytali to zdanie, pojawiała się na jego miejsce inne—na następnym transparencie i tak dalej, aż dopóki z tych oddzielnych zdań nie złożyła się całość odczytu. W ten pomysłowy sposób, nie wypowiadając ani jednego słowa, agitowały Amerykanki za swoją sprawą.

Bywały jednak i agitatorki mniej milczące, owszem obdarzone bystrym dowcipem i umiejętnością zręcznego „odcięcia się” na stawiane im przez publiczność zarzuty. Te bywały głównie wysyłane do środowisk wielkomiejskich, gdzie mieszkańcy dzielnic robotniczych przyjmowali często ich przemówienia gradem drwin i dowcipów.

Panna Winter przytacza kilka przykładów takich zabawnych rozmów:

Jakiś robotnik woła:

— Ehe! panienko, ładna jesteś, jak mi Bóg miły, czemu lepiej nie wyjdiesz zażam, zamiast gadać o równouprawnieniu?

Odpowiedź:

— Nie mogę, boby mnie zaskarżyli do sądu o bigamię.

Jakaś stara kobiecina woła z oburzeniem:

— Lepiejbyś pani zacerowała w domu skarpetki twemu staremu!

— Dziękuję bardzo za pamięć, zacerowałam je właśnie wczoraj wieczorem—brzmiała uprzejma odpowiedź.

Ktoś znowu radził, aby mówczyni „zamiast gadać, zajęła się swojemi dziećmi“. Agitatorka—osoba już w pewnym wieku—udała obrażoną i zawołała z oburzeniem: „Za kogo mnie pani bierze? Jestem uczciwą starą panną i nie mam żadnych dzieci do pilnowania!“

Były jednak i wykrzykniki bardziej uprzejme, jako to: „A niechże już wam dadzą to równouprawnienie, moja śliczna panienko, kiedy wam tak bardzo o nie chodzi!“ albo: „Brawo, baby! nie dajcie się, umiećcie dobrze gadać, to sobie wywojujecie swoje prawa“, etc., etc.

Najzabawniejszym jednak epizodem było pewne nieporozumienie, jakie się przytrafiło jednej z agitatorek w małej osadzie rolnej. Zaszła ona do domku jakiegoś osadnika i zaczęła nawracać gospodynię, młodą jeszcze kobietę, przedstawiając jej, jak koniecznym jest uzyskanie dla kobiet prawa głosu (po angielsku suffrage). Na te słowa krewka niewiasta porwała za pogrzebacz i podbiegła z nim do przerażonej agitatorki, wołając: „Wynoś mi się pani natychmiast za drzwi, rozumiesz? Patrzcie ją—co wymyśliła! Mnie tam żadnego „suffrage“ nie potrzeba—kobiety i tak już dosyć cierpią (suffer) na tym świecie!“ Poczciwa niewiasta była przekonana, że gość jej domaga się zwiększenia cierpień rodzaju niewieściego.

PRZYSPOSOBIENIE WOJSKOWE KOBIET W ROSJI

Bułgarski „Wiernik na Zenata“ donosi, że z początkiem bieżącego roku szkolnego w Rosji Sowieckiej wprowadzoną została we wszystkich wyższych zakładach naukowych kobiecych obowiązkowa nauka przedmiotów wojskowych, zarówno praktycznych, jak i teoretycznych. Do przedmiotów teoretycznych zaliczane są: terenoznawstwo, strategia, taktyka, historia wojskowości, geografia polityczna itd. Udział kobiet w zajęciach wojskowych praktycznych będzie zdecydowany dopiero przez komisarza do spraw wojskowych.

KOBIETA SĘDZIĄ W TURCJI

Turcja będzie miała w niedługim czasie pierwszą kobietę na stanowisku sędziego. Pani Niguiar Hanum, pierwsza w tym kraju absolwentka Akademii Prawa w Konstantynopolu, odbywa obecnie półroczną praktykę, wymaganą dla otrzymania stanowiska sędziego.

WRÓG KOBIET

Pisma niemieckie donoszą o śmierci znanego filologa, prof. Gustawa Reutera, który był do końca swego życia zaciętym wrogiem kobiet. Profesor Reuter opierał się zawsze dopuszczaniu kobiet na studia uniwersyteckie, twierdząc, że „żadna kobieta jeszcze nie przyniosła dotychczas nauce pożytku“. Gdy przed kilku laty ofiarowano prof. Reuterowi, podówczas wykładowemu w Gasteinie, katedrę na uniwersytecie berlińskim, postawił on, jako warunek przyjęcia tej propozycji, żądanie, aby na żaden z jego wykładów nie wpuszczono kobiety.

Z. B.

Z TEATRÓW

TEATR MAŁY.

„Najpiękniejsze oczy na świecie“. Komedja w 3-ach aktach Jana Sarment, przekład Zuzanny Rabskiej.

Pomysł pana Sarment jest śmiały i ryzykowny: kalectwo na scenie zawsze robi wrażenie przytłaczające i przykre, i trzeba nielada talentu i techniki autorskiej, żeby wyjść obronną ręką z piętrzących się trudności. Pan Sarment osiągnął ten rezultat, przenosząc punkt ciężkości psychologicznej, ze ślepej Lucyny na Napoleona i tem uratował swoją „komedię“.

Bohaterką jej jest Lucyna, uosobienie słodyczy i wdzięku, młoda panna w której kochają się na zabój dwaj poeci. Ładny, nieśmiały i trochę banalny Artur, i oryginalny, wybuchowy brzydal Napoleon. Lucyna nie zdaje sobie sprawy ze swoich uczuć, więc, oczywiście, wybiera Artura.

Wkrótce po ślubie młoda kobieta ślepnie. Życie jej, między ojcem manjakiem, nigdy niewidzianem dzieckiem i obojętnym mężem jest smutne i monotonne. To też, gdy po ośmiu latach zjawia się Napoleon, wspomnienie młodości upaja Lucynę. Kalectwo chroni ją przed smutnem rozczarowaniem: Lucyna nie widzi, że Napoleon jest cieniem obiecującego poety. Nędza upodliła go, zawody życiowe zepchnęły na dno upadku. Próbował wszystkich zawodów, był krupierem, kelnerem w restauracji i dziś przyszedł do przyjaciela po parę franków.

Dla Lucyny jest Napoleon uosobieniem „jej“ Artura. Nie wie, że Artur był wtedy tylko odbiciem swego subtelного przyjaciela, że jego słowami czarował jej duszę. Poddaje się urokowi tego nieoczekiwanego spotkania, nie widzi zmiany zaszłej w Napoleonie, słyszy tylko głos i słowo „kocham“, którego tamten tak jej skąpi. A kiedy Artur, zastawszy ich we dwoje z brutalnością zazdrosnego mężczyzny obnaża przed żoną nędzę i upodlenie Napoleona, Lucyna z okrzykiem radości rzuca się mężowi w objęcia: jest zazdrosny, więc ją jednak kocha! I Napoleon po raz drugi oddaje umiłowaną temu, który mu ją już raz zabrał. Ale w tej tragicznej chwili odzyskuje Napoleon godność mężczyzny i budzi w rywalu — może po raz pierwszy — duszę...

Oto treść komedji pana Sarment, którego oryginalny talent i opanowanie techniki teatralnej podziwialiśmy już w „Poławiaczach cieniów“. Ale obok tych zalet są niestety pewne „ale“: pan Sarment nie posiada daru słowa, którymby mógł nas porwać, oczarować, olśnić.

Jakie banalne są te słowa, które trzeba było aż ukraść przyjacielowi, żeby móc zdobyć ukochaną! Ale wróćmy do zalet pana Sarment. Należy do nich umiejętne stawianie figur. Napoleon—to rola wdzięczna dla aktora, która pozwala mu błysnąć talentem. Pan Daczyński w akcie pierwszym nieco zimny i sztuczny, w dwóch następnych miał szczere i wzruszające akcenty. Dobrze pojął Artura pan Hierowski, Panna Malicka była Lucyną pełną wdzięku i słodyczy. Z miłej, rozbawionej dziewczyny w akcie pierwszym przeistoczyła się w następnym w kobietę, którą kalectwo i nie-szczęśliwe pożycie małżeńskie dziwnie wyaniedliło.

Sztukę słucha się z zainteresowaniem i wróżyć jej można pełne powodzenie.

V A R I A

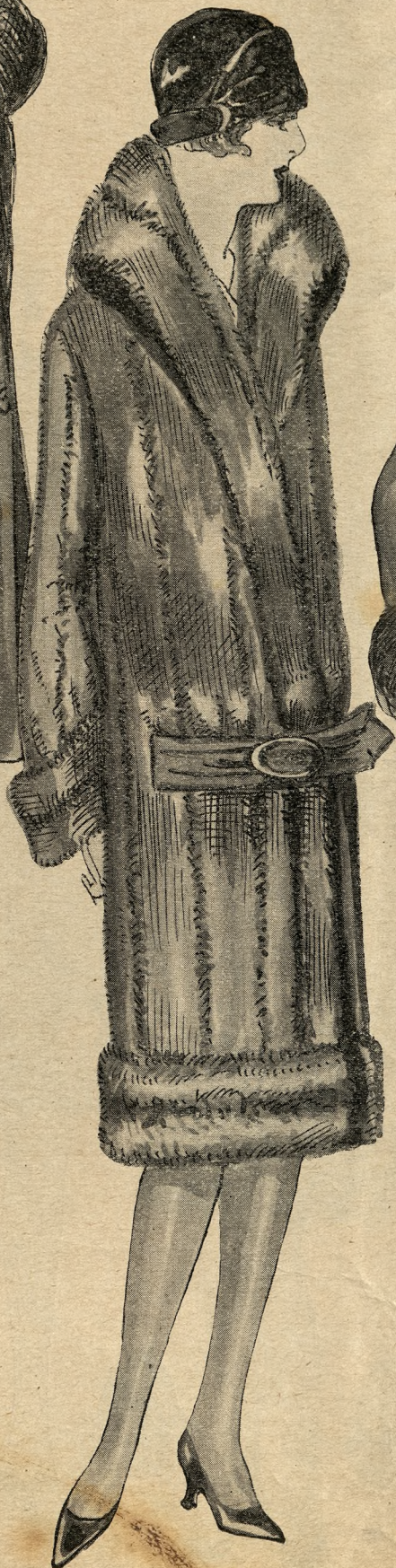
Bernard Shaw otrzymał nagrodę literacką Nobla. Zanim poświęcimy mu większy artykuł—na co „największy ironista świata“ w zupełności zasługuje—przypominamy naszym czytelnikom, że Shaw jest autorem wielu znanych u nas i granych sztuk. Przypominam tylko „Pigmaljona“, „Kandyd“, „Stą Joannę“, „Cezara i Kleopatę“ i „Bohaterów“.

Z. P.

MODY I ROBOTY



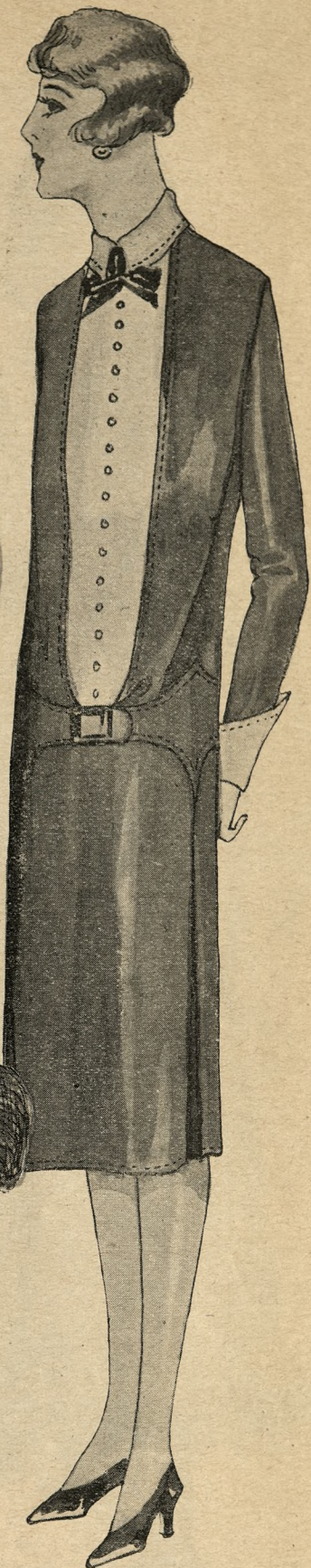
1088



1089



1090



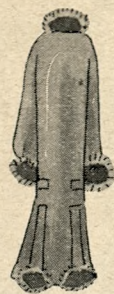
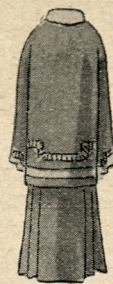
1091



1092



1094



1093



1095



1096





1097



1098



1099

1100

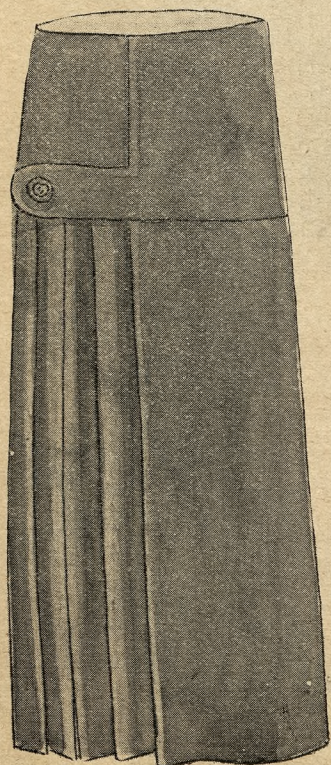
1101



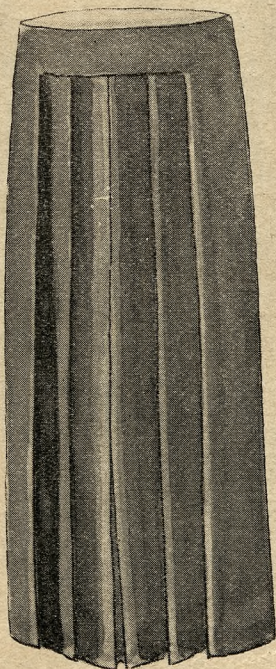
1102

1103

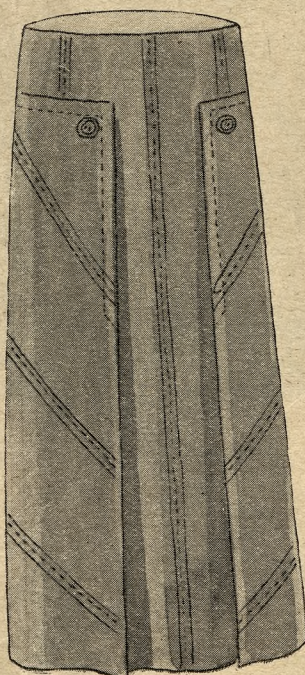
1104



1105



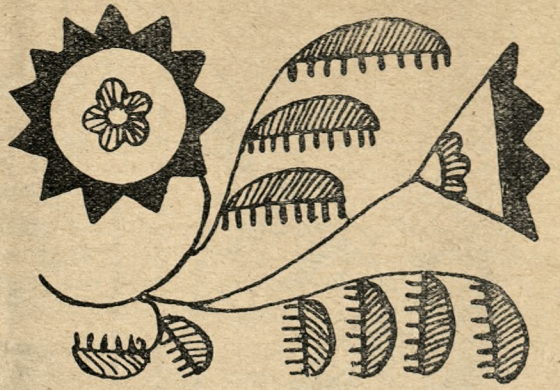
1106

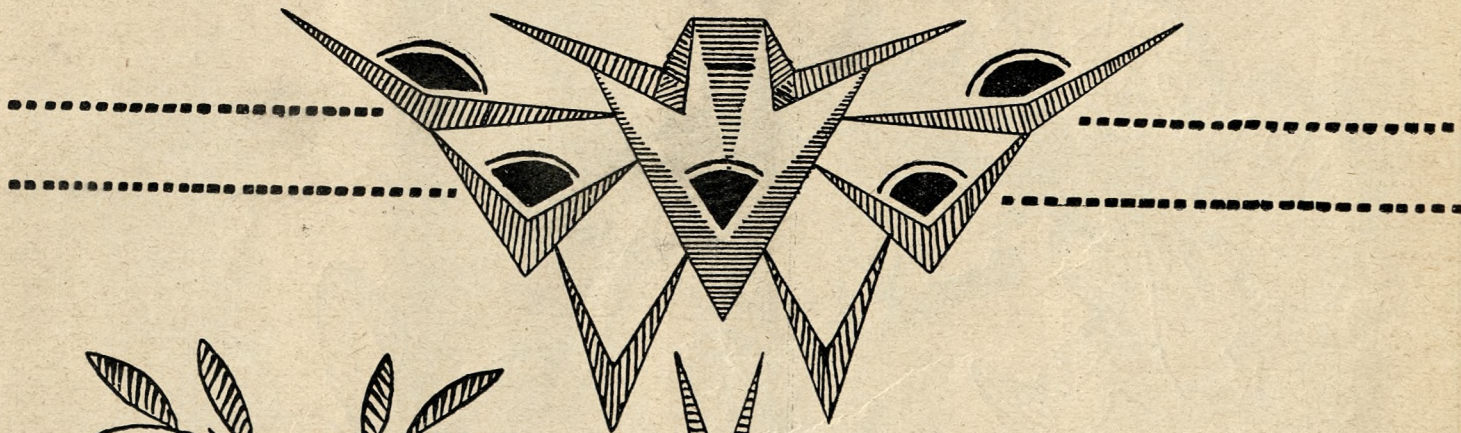
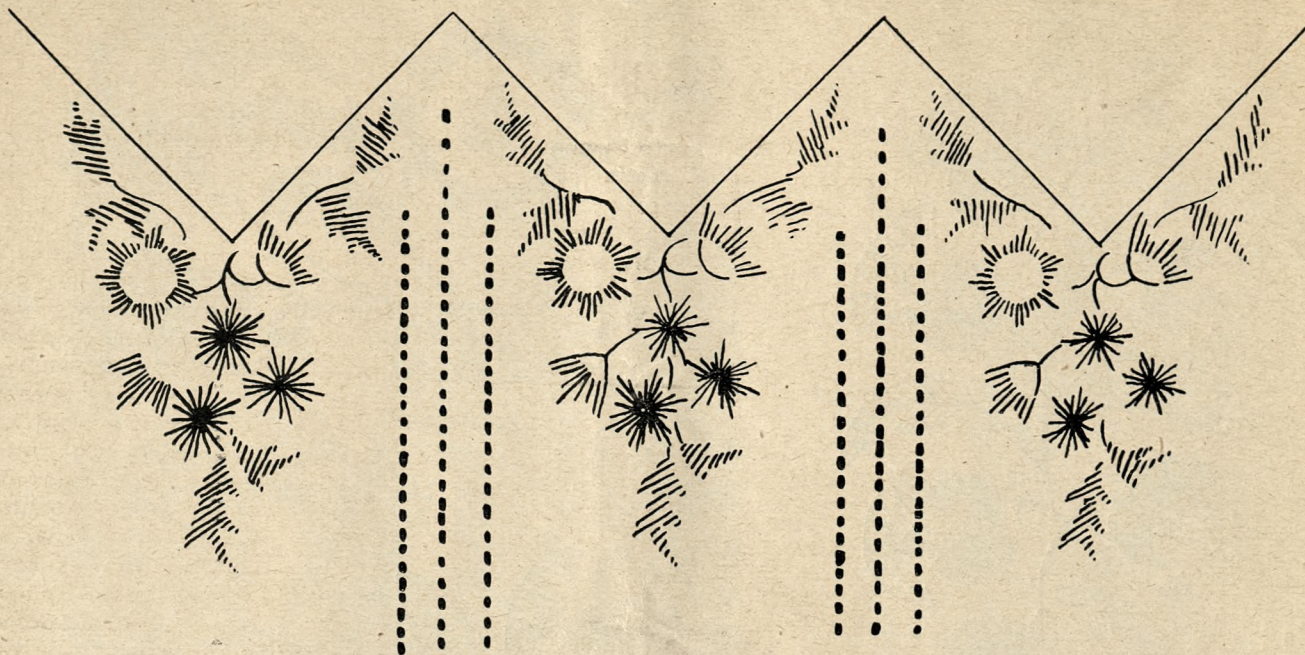


1107



1108





KRAKOWIANKA

Z myślą o zbliżającej się Gwiazdce, podajemy dzisiaj lalkę—krakowiankę, którą niejedna zręczna matka będzie mogła wykonać dla swojej córeczki. Dokładne formy, oraz tabliczkę kroju ubrania dla lalki znajdują Czytelniczki na oddzielnym arkuszu, dodanym do numeru niniejszego. a sposób wykonania podajemy poniżej. Bierzemy pół metra surówki w dobrym gatunku t. j. miękkiej, a gęstej, składamy na pół i obrysowujemy tułów po linii C D E F G A B pozostawiając B C nie zaszyte (r. 1). Szyjemy gęstym ścięciem po oznaczonym rysunku, następnie wycinamy, pozostawiając naokoło szwu kawałek materiału, odwracamy na drugą stronę i napychamy, sypiąc łyżeczką suche i czyste trociny. Napychamy bardzo mocno, aby po naciśnięciu ślad palca nie zostawał. Następnie kładziemy na podwójnie złożoną surówkę nogę i rękę (r. 2 i 4) i znów, jak wyżej, obrysowujemy, potem po rysunku szyjemy, dopiero wycinamy, przyczem robiąc rękę uważać należy, aby rozcięcie przy dużym palcu obrzucić mocno niemi, aby przy odwracaniu materiał nie wyparsknał się. Szyjąc nogę od A do B i od C do D pozostawiamy nie zaszyte, do dołu przyszywamy podeszewkę, (r. 3) którą wycinamy z tekturki i obszywamy kawałkiem surówki, ściągając na niteczce, aby podeszewka była gładka, i dopiero mając przyszytą podeszwę, napychamy, jak wyżej, trocinami, aby były ubite jak kamień, wtedy zaszywamy górę. Mając tak przygotowane nogi, możemy je obuwać, robiąc z kawałka sukna buciki (fason takowych podajemy na tablicy kroju), poczem kolorowym kordonkiem sznurujemy. Jeżeli chcemy mieć b. strojne buciki, to naszywamy zamiast haczyków czarne, lub żółte pacioreczki wzdłuż bucików. Szyjąc rękę, znów pozostawiamy od A do B nie zaszyte i napychamy trocinami, napychając tak mocno, aby była okrągła, jedynie dłoń powinna być płaska. Na końcu ręki odznaczamy 4 paluszki, stębnując gęsto w rękę już po nasypianiu trocin, jeżeli chcemy otrzymać b. ładną kiść ręki, zamiast trocin możemy użyć waty białej, ręka będzie delikatniejsza. Jeżeli chcemy, aby lalka nie była chłopką, lub krakowianką, a elegancką pannienką, to na ręce możemy użyć materiału cieńszego, niż surówka, tylko nie mogą być ręce białe, a trzeba materiał ufarbować na kolor cielisty w farbie różowej, można i nóżki też zrobić różowe, ale

to wymaga umiejętnej i delikatnej roboty, gdyż materiał biały nie jest tak mocny, jak surówka. Teraz przyczepiamy ręce do ramion, przyszywając mocno cienkim sznurkiem, to samo robimy i z nogami, przeszywamy sznurkiem, poczem mocno związujemy, (r. 6) w taki sposób mamy już tułów, lecz bez głowy. Aby zrobić ładną główkę, znów bierzemy surówkę i, rysując dokładnie profil, przyszywamy po rysunku na maszynie, poczem odwracamy i pozostawiając dół nie zaszyty, napychamy trocinami bardzo mocno, rysujemy oczy, brwi i usta i haftujemy — oczy niebieskie, usta ponsowe, dziurki w nosie ponsowe, brwi i rzęsy z jedwabiu brązowego. Aby zrobić ładną główkę, trzeba koniecznie ładnie ją narysować. Włosy robimy z lnu lub włóczki, przyszywając je w środku głowy i plotąc warkocze, spuszczone, lub upinamy po obu stronach twarzy na uszach, poczem główkę wpuszczamy w otwór BC tułowia i gęsto obszywamy raz koło razu, uważając, aby głowa była proporcjonalnie osadzona t. j. aby miała odpowiedniej wysokości szyję, co trzeba dopasować, gdy się głowę wpuści w tułów. Następnie ubieramy k r a k o w i a n k ę.



Wszystkie fasony ubrania podajemy na tablicy kroju, koszulka wycięta biała z batystu, majteczki, spódniczka biała obszyta koroneczką, wszyta w pasek zapięty na guziczek lub zatrzask, koszulka, bluzeczka z batystu z falbaneczką pod szyją i takąż przy rękawach. Spódniczka wierzchnia koloru dowolnego, różowa, ponsowa, niebieska, nawet biała, naszyta wstążeczkami i złotem (szychem) lub wyszyta łańcuszkiem z lacet sześć razy rozmaitemi kolorami harmonijnie ułożonymi, koniecznie ze 2 — 3 razy złotem. Mały fartuszek biały, najlepiej z markizety kilka razy naszyty wstążeczką i szychem, obszyty koroneczką naokoło, wszyty w pasek i zapinany, gorsecik z aksamitu czarnego, obszyty cały szychem i wyszyty cekinami, z przodu sznurowany kolorowym kordonkiem lub lacet. Na szyi parę sznurków paciorków kolorowych, koniecznie b. świecących i kilka wstążek spuszczonej z tyłu, a na głowie chusteczka kolorowa z markizety lub kawałka wełny, zręcznie związana z tyłu głowy. Tak ubrana lalka będzie ulubioną zabawką dla dziewczynki na gwiazdkę. Za opłatą 1,50 gr. możemy wysłać fasony lalek mniejsze lub większe.

NOWOCZESNA ATENA NA WOZIE OGNISTYM

Kilka uwag o najnowszych strojach automobilowych.



Rękawiczki z lampkami sygnałowymi.

kłady przemysłowe, no, i te, uprzywilejowane przez los wybranki dolara, czy funta, bo takie nosi miano wymarzony królewicz dzisiejszy.

Dla tych to właśnie wybranek losu wymyśliła moda szereg ubiorów ciepłych, szczelnie okrywających ciało, luźnych a wygodnych, by nie krępowały ruchów pięknej pani, gdy kaprys każe jej być własnym swym szoferem.

Spójrzmy: oto mknie przez Pola Elizejskie typowy paryski samochód, — zgrabna karetka, szczelnie ze wszystkich stron zaizolowana przed wilgotnym, przenikliwym chłodem jesiennym, który nad Sekwaną dokucza więcej, niż mróz. Przez lustrzaną szybę mignęła różowa buzia i dużo, dużo futer. Kołnierz i mankiety płaszcza z królewskiego lisa, w rdzawe i piaskowe pręgi, chronią szyję i ręce od nagłego przeciągu, który wdziera się z pod pochylej tafli szkła do wnętrza.

Płaszcz z brunatnych, strzyżonych krótko skórek jagnięcych, kryty wiśniowym sukniem, otula szczelnie kolana, ciasno przylega do bioder. Krój bluzkowy zapewnia całkowitą swobodę ramion.

Pod płaszcz kładzie się sweater w dowolnych deseniach i barwach. Proste lub falujące linie krzyżują się na nim, wiją, płaczą. Szalik, albo wążutki rąbek futra podkreśla zarys szyi. Spódniczka, ułożona na bokach w głębokie fałdy, z przodu jest całkiem gładka, pozbawiona naszyć i guzików.

We wszystkich płaszcach i tych z „kasha” i tych z velours-de laine, tłoczonych w drobne mozaikowe desenie, i w sukiennych na jedwabnej podszewce silnie zaznacza się krój bluzkowy.

Dzisiaj od płaszcza automobilowego nie wymaga się zbytniego ciepła, bo prawdziwie postępową sportsmenka wkłada podspód kamizelkę ze skórki żrebięcej lub wyporków cielęcych. Ten ostatni krzyk mody znalazł ogromne uznanie u łaknących nowości elegantek.

Daleko nam jeszcze do Ameryki, gdzie auto stało się niemal artykułem pierwszej potrzeby i przedmiotem codziennego użytku, jak wanna, tramwaj, kuchenka gazowa.

Własny samochód jest jeszcze u nas ciągle kosztownym cackiem, na które mogą sobie pozwolić zasobne instytucje, wielkie za-

Dobiera się barwę futra do odcienia włosów, tworząc tą drogą nieoczekiwane zestawienia kolorystyczne. Największym powodzeniem cieszą się skórki pstre z cieląt „graniastych” i żrebaków „łaciastych”, których żywe plamy zdają się harmonizować z nieokiełznanym temperamentem młodych adeptek sportu.

Wąski pasek z tych skórek, ściągnięty na sprzączkę, obciska nawet sweater wełniany wokoło bioder ruchliwej i towarzyskiej pani na podobieństwo skórki koźlęcej, opasującej niegdyś biodra sycylijskiego marzącego pasterza, lub pustelników tebańskich...

Co za romantyczne zestawienia podsuwa moda!... Dodajmy, że bucik, kapelusz i torebka powinny być wykonane z tego samego materiału. Tak uzbrojona, może piękna pani zaryzykować nawet dalszą poranną wycieczkę, kończącą się niepozbawionem melancholijnego uroku śniadaniem na tarasie w Fontainebleau czy Rambouillet wśród spadających bez szalestu liści i słodkich woni róż jesiennych, bladych, jak niebo październikowe, „souvenirs de Malmaison”.

Brakuje tylko w głębi strzyżonych szpalerów empirowych sylwetek Napoleona i Józefiny, zamieniających ostatnie słowa pożegnania, aby złudzenie było zupełne. Niestety! chrapliwy sygnał automobilowy za bukszpanową ścianą wytrąca rozmarzoną panią z romantycznej zadumy i rzuca ją w muskularne ramiona współczesności, uznającej tylko szybkość ruchu i decyzji, a nie pozwalającej na staropanieńskie roztkliwianie się.

Więc prędko, prędko na rozwichrzoną czuprynkę wciąga się głośki fil-



Sportowe ubranie ze skóry.

cowy kapelusik o wąskim rondku, tak ściśle przylegający do drobnej czaszki, że nie starczy tam już miejsca na żadną myśl niewczesną, na wspomnienie lub na tęsknotę za jutrem nieznanem.

A na rączki, które, pomimo sportowego wyszkolenia, zachowały alabastrową białosć i giętkość kwietnej łodygi, wciąga się najnowsze rękawice automobilowe zaopatrzone dwoma



Palto przebrane lisami syberyjskimi.

sygnałowemi lampkami na przegubie ręki, które zapala się przez naciśnięcie guzika palcami. Wynalazek, mający zastosowanie przede wszystkim w Paryżu, gdzie sygnały mechaniczne są albo policyjnie zabronione, albo zgoła zbyt cenne.

I tak uzbrojona od stóp do głowy, ze słońcem elektrycznym w dłoni mknie nowoczesna Atena na wozie ognistym ku zapasom jakiegoś ogorzałego na bronz Achillesa, którego przysłowiową piętą jest może właśnie słabość do wojowniczej „lady“ z opancerzonego automobilu...

Obok tych, niepozbowionych wdzięku kobiecości, stro-



Kapelusz, kamizelka i buciki z łaciatej skóry cielęcej.

jów wycieczkowych i spacerowych, którym przemysłna moda nadaje „cachet“ pseudo-sportowe, wchodzą w użycie czysto męskie ubrania ze skóry, czarnej lub kolorowej, stosowane przede wszystkim dla pań, prowadzących osobiście samochód lub motocykl, a zatem narażonych na opryskanie błotem i zetknięcie się bezpośrednie z naoliwionymi częściami motoru.

Tu niema już miejsca na kokieterję. Kobieta, zamknięta w skórzanym futerale, zatracą właściwą sobie sylwetkę. Jest jak szabla damasceńska: nabiera waloru po wydobyciu z jaszczura. *Spero.*

POLSKA WSPÓŁCZESNA

USTRÓJ WŁADZ PAŃSTWOWYCH W POLSCE

Minister Przemysłu i Handlu sprawuje władzę państwową z zakresu górnictwa, hutnictwa, przemysłu, handlu lądowego i morskiego, w zakresie legalizacji miar i wag, w zakresie badań geologicznych kraju, w zakresie probiernictwa i w zakresie poczt i telegrafów.

Agendy, podległe Ministrowi Przemysłu i Handlu, są b. liczne.

Przedewszystkiem, przy Ministrze Przemysłu i Handlu istnieje szereg ciał doradczych, z różnych dziedzin jego kompetencji. Są to: Rada Naftowa, Rada Rzemieślnicza, Rada Chemiczna, Rada Handlowo-Przemysłowa, Komitet Celny i Komitet Normalizacyjny.

Ponadto, obok Ministerstwa Przemysłu, Ministrowi podlegają: Państwowy Instytut Geologiczny, Urząd Patentowy Rzplitej Polskiej, Główny urząd miar (legalizacja narzędzi, miar i wag), Główny Urząd Probierczy i wreszcie Generalna Dyrekcja Poczt i Telegrafów, która ma zresztą na podstawie wrześnieowego rozporządzenia Prezydenta, odejść do Ministerstwa Komunikacji. Wszystkie te urzędy kierują samodzielnie, pod zwierzchnictwem Ministra Przemysłu i Handlu, sprawami z zakresu swojej kompetencji.

Samo Ministerstwo Przemysłu i Handlu składa się z 5-ciu departamentów: Ogólnego, Przemysłowego, Handlowego, Górniczo-Hutniczego i Marynarki Handlowej — Bezpośrednio Ministerstwu podlegają liczne przedsiębiorstwa i urzędy, a wśród nich — Dy-

rekcja Salin Państwowych, Dyrekcja zakładów naftowych, fabryka związków azotowych w Chorzowie, zarząd budowy portu w Gdyni i in.

Również liczne są organa prowincjonalne Ministerstwa Przemysłu i Handlu — W zakresie przemysłu i handlu są nimi Wojewodowie i Starostowie, w zakresie górnictwa i hutnictwa 3 wyższe urzędy górnicze i podległe im okręgowe urzędy górnicze, w zakresie administracji probierczej — 3 okręgowe urzędy probiercze, w zakresie legalizacji narzędzi mierniczych, sześć okręgowych urzędów miar i podległe im miejscowe urzędy miar, i wreszcie w zakresie administracji pocztowej — Okręgowe dyrekcje poczt. Okręgowych dyrekcji poczt istnieje w całej Polsce dziewięć i zarządzają one położonymi w ich okręgach urzędami pocztowymi, telegraficznymi i telefonicznymi, a także wykonywują nadzór państwowy w zakresie radiotechnicznym. Urzędów pocztowych jest w całej Polsce 1604, nie licząc 2264 agencji pomocniczych.

Minister Robót Publicznych kieruje kompetencjami państwa z zakresu regulacji rzek, melioracji kraju, budowy dróg wodnych i lądowych, elektryfikacji kraju, nadzoru nad budownictwem i budowy gmachów państwowych.

Ministerstwo Robót Publicznych składa się z 4-ch Departamentów: Administracyjnego, Drogowego, Budowlanego i Wodnego oraz z Wydziału Prezydjalnego. Organami prowincjonalnymi Ministra są Wojewodowie i Starostowie, z wyłączeniem administracji dróg wodnej, którą sprawują dwie Dyrekcje Dróg Wodnych, w Warszawie i w Wilnie.

Minister Pracy i Opieki Społecznej sprawuje nadzór w sprawach polityki socjalnej, w zakresie ochrony pracy, ubezpieczeń społecznych, opieki społecznej i emigracji.

Przy ministrze istnieją ciała doradcze: Rada Emigracyjna, Rada Opieki Społecznej i Rada Ubezpieczeń Społecznych.

Ministerstwo Pracy i Opieki składa się z 3-ch departamentów: Opieki, Ubezpieczeń Społecznych i Pracy, oraz z biura Głównego Inspektora Pracy i z Wydziału Ogólnego. Oprócz Ministerstwa, Ministrowi bezpośrednio podlegają: Urząd Emigracyjny, Główny Urząd Ubezpieczeń Społecznych, Trybunał orzekający w sprawach ubezpieczeń społecznych w Poznaniu oraz Zarząd funduszem bezrobocia.

Organami prowincjonalnymi Ministra Pracy i Opieki są Wojewodowie i Starostowie, za wyjątkiem spraw inspekcji pracy — którą pełnią powiatowi inspektorowie pracy pod kierownictwem 12-u okręgowych inspektorów pracy i za wyjątkiem spraw funduszu bezrobocia, które prowadzą na prowincji obwodowe biura funduszu bezrobocia.

Minister Komunikacji, mianowany na podstawie rozporządzenia Prezydenta o utworzeniu tego urzędu z września b. r., pełni dotychczas faktycznie funkcje danego Ministra Kolei. — Do kompetencji jego należy zarząd kolejami państwowymi i nadzór nad kolejami prywatnymi — a powinien należeć, na podstawie wspomnianego rozporządzenia — zarząd poczt i telegrafów (dotychczas — do Ministra Przemysłu) i zarząd budową gmachów pocztowych (dotychczas do — Ministra Robót Publicznych).

Ministrowi Komunikacji podlega dotychczas dane Ministerstwo Kolei, złożone z 6-u departamentów, z Wydziału Prezydjalnego i z Wydziału Taryfowego. Nadto, przy ministrze istnieją: Państwowa Rada Kolejowa i Rada Techniczna oraz Komitet statystyczny. Wspomniane rozporządzenie, dotyczące utworzenia Urzędu Ministra Komunikacji, i ogłoszone w tym samym dzienniku ustaw rozporządzenia o utworzeniu Przedsiębiorstwa „Polskie Koleje Państwowe“, przewidują likwidację obecnego Ministerstwa a utworzenie

na jego miejsce Ministerstwa Komunikacji i Generalnej Dyrekcji Kolei Państwowych.

Organami prowincjonalnymi Ministra Komunikacji są dotychczas jeszcze Dyrekcje Kolei Państwowych, sprawujące administrację kolejową na swoim obszarze. Dyrekcji Kolejowych jest 9, podlegają im rozliczne urzędy kolejowe i kierownictwa stacyj kolei żelaznych.

Ostatni w szeregu ministrów, wreszcie, Minister Reform Rolnych, sprawuje władzę w zakresie urzędów rolnych, melioracji, uregulowania serwitutów i ma za zadanie przeprowadzenie reformy rolnej.

Ministerstwo Reform Rolnych składa się tylko z dwu departamentów: Administracyjnego i Urzędów Rolnych. Oprócz Ministerstwa przy ministrze istnieje Główna Komisja Ziemska, która rozpatruje odwołania od orzeczeń Okręgowych Komisji w sprawach z zakresu reformy rolnej, oraz Komisja Odwoławcza dla spraw osadnictwa wojskowego, która rozpatruje odwołania od orzeczeń t. zw. powiatowych komitetów nadawczych, przeprowadzających, na obszarze województw wschodnich, akcję osadniczą.

Organami prowincjonalnymi Ministra Reform Rolnych są Okręgowe i Powiatowe Urzędy Ziemskie. Urzędów Okręgowych jest czternaście, a urzędów powiatowych sto czterdzieści pięć, te ostatnie obejmują po parę powiatów administracyjnych.

Przy każdym Okręgowym Urzędzie Ziemskim istnieje Okręgowa Komisja Ziemska, jako organ orzekający w sprawach z zakresu ewolucji rolnej. Nadto, na ziemiach wschodnich, istnieją w każdym powiecie powiatowe komitety nadawcze, przeprowadzające parcelację ziemi pomiędzy osadników wojskowych.

Przedstawiony ustrój władz administracyjnych w Polsce nie jest ostateczny, a prace nad uproszczeniem administracji są prowadzone intensywnie.

Prace te idą zwłaszcza w kierunku zniesienia nadmiernej liczby rozmaitych urzędów odrębnych I i II instancji i zespolenia ich zadań w urzędach starosty i wojewody, a także w kierunku osiągnięcia takiej struktury urzędów centralnych, aby kompetencje rozmaitych urzędów i departamentów jaknajmniej ze sobą kolidowały.

U GAŹDZINY W SROMOWCACH

Mała, niepozorna góralska wioska, a wielu o niej mówi i wielu nią się interesuje, zwłaszcza wśród młodzieży i jej kierowników, a wszyscy górale naokoło, mówiąc o Sromowcach, usmiechają się: „gaździna byli tu i tam, gaździna tego leczyli, temu radzili i t. d.“. Sromowce Wyżnie? Gdzież to jest?

U stóp góry, na której ponoć stał wielki zamek królowej Kingi, Cisowcem zwany, niedaleko Czorsztyna i Niedzicy w powiecie Nowotarskim, stoi dworek...

Taki sobie dworek drewniany, ślicznej zakopiańskiej architektury, zdaleka wabiący oko taką jakąś dzwonne miłą powierzchownością, a pławiący się w kwiatach, jak rozrzucone po całym brzegu kamienie w falach Dunajca, który wprost dworku płynie.

To... „cisowy dworek“.

Któż go w Pieninach nie zna? Chory góral, czy góralka wyjedzie stąd z dobrą radą i lekarstwem na dolegliwości, strapiony kłopotami gazda, czy baka okoliczny przyjdzie tu po radę, a jak tylko rozwiną się liście na drzewach, majaczejacy zdała Hawrań i Murań ściemnieje i spłyną ostatnie śniegi z Trzech Koron, ruch tu coraz większy, dochodzący do zenitu w czasie wakacyjnych czasów naszej młodzieży harcerskiej.

Bowiem tu w Pieninach — to istna rzeczpospolita harcerska, co krok to harcerz, co kilometr obóz, a stolicą tego państwa jest i będzie zawsze „Cisowy Dworek“, do którego wzdycha strudzony drogą wędrownik-harcerz. bo wie, że znajdzie tam dach nad głową i odpoczynek.

Cóż to za czarodziejska miejscowość i od jak dawna istnieje?!

Ho, ho... dziwna to historia! Któż z młodzieży harcerskiej i nie harcerskiej nie zna druhny Oleńki Małkowskiej, choćby ze słyszenia?

Otóż druhna Oleńka, podróżując po Anglii i Ameryce, postanowiła wybudować w Polsce takie gniazdo harcerskie, jakie mają skauci tamtych narodów...

Pomyślała, postanowiła i... może dlatego, że się o tem zbyt dużo nie mówiło i nie reklamowało tego... stanął „Cisowy Dworek“. Plan wygotował znajomy architekt ze Lwowa; na zew druhny Oleńki zbiegły się harcerki ze wszelkich stron Polski i budowały, zbierały kamienie i piasek, mieszały wapno — jednym słowem pomagały jak mogły, a czasem więcej, niż mogły.

Dworek rósł, rósł, potężniał, pokrył się dachem tak, że wkrótce i budowniczy nie mogli się z pod namiotów pod trwały dach przenieść.

Czytelniczki i czytelnicy łaskawie myślą, że stała sobie ot taka zwykła chałupinka o krzywych okienkach i jednym kominie..

Aha! właśnie! proszę słuchać: weranda obszerna, oszklona, pokoje widne, czystutkie, aż miło, kominek w jadalni i pianino, a] kuchnie...! niejedna warszawska gosposia by pozazdrościła. Ba... ogromne wykła dane kaflami do połowy, kanalizacja, obok obszerne, nowoczesne urządzone łazienki i umywalnie, a wszystko takie jakies dziwnie miłe, przytulne. Eh! co tu dużo mówić! nie wierzycie, przyjdźcie państwo i zobaczcie. Ale tak, z ręką na sercu



mówiąc, to obcokrajowcy więcej się budową dworku interesowali, niż polacy.

To też dziś odwiedzają corocznie druhnę Małkowską goście z zagranicy, wśród których nie brak osób znanych, jak mr. Peter Pen, słynny powieściopisarz i redaktor paru pism, lub piastujących wysokie urzędy, jak minister oświaty w Kairze, który zachwycił się cudami naszych polskich gór.

Przez cały rok, oprócz szkoły powszechnej, założonej tutaj, w dworku przebywa kilka harcerzek na kursie. Cicho wtedy płynie pracowite życie, lecz w lecie ruch i gwar niesłychany. Kursy instruktorskie następują po sobie jeden za drugim. Obszerne poloniny pokrywają się namiotami dzielnych harcerzek z Warszawy, Poznania, Sosnowca, Łodzi i t. d., a nierzadko i zjazd jaki tu się odbywa, jak np. w sierpniu b. r. zjazd starszego harcerstwa.

A wieczorami, kiedy słońce gaśnie i zdala z wyniosłych wieżyc niedzickiego zamku rzuca ostatnie spojrzenie swych złotych oczu... cała okolica zasnuwa się dymami licznych ognisk harcerskich, które przeglądają się w fioletowych toniach bystrego Dunajca... i długo, długo w noc słyszać dźwięczne tony pieśni i piosenki obozowe.

I ja tam w swych wędrówkach, szukając cudów budownictwa drewnianego — zaszedłem I pamiętam taki wieczór w Cisowym Dworku; kiedy gaździna Małkowska opowiadała góralskie klechdy i podania o dziwożonach, a miły gość z za morza, Mister Lauri Ympey, też coś prawił i śpiewał nam staro angielskie marynarskie pieśni... Cisowy Dworek... gaździna... zupełnie jak w bajce. *Stefan Łoś.*

O WNĘTRZACH MIESZKANIOWYCH

S E C E S J A

Duch ludzki wieczyście jest głodny nowych zdobyczy, wieczyście spragniony nowych form. Konec XIX i początek XX wieku to tryumfalny pochód wiedzy, zwycięstwo na każdym kroku. Pociągi osiągały ogromną szybkość, opanowano elektryczność, dźwięczą telefony, budują się samochody i czynią próby z aeroplanami, zdaje się, że świat stoi u kresu wiedzy, Sztuka czyni olbrzymi wysiłek, architektura postanowiła wyzwolić się z letargu, zerwać z przeżytych po stokroć klasycyzmem, stworzyć coś nowego. Ma się nowy materiał pod ręką, owo żelazo, pozwalające rozpinać śmiałe łuki mostów nad przepaściami, lub tkać konstrukcje słupów w halach dworców kolei żelaznych. Pospołu z rzeźbą czyni się śmiały skok naprzód i buduje w nowym stylu. Lecz cóż. Mało było dobrych chęci, brakło genialności. Trzeba było odpokutować za długie lata lenistwa myśli twórczej. Trzeba było wyczuć, że słupa żelaznego, trzymającego misterne wachlarze żelaznego sklepienia, nie potrzeba wcale upodabniać kolumnie korynckiej, z kapitelem, odlanym z metalu i zmontowanym później, kolumnie o dzikich proporcjach, za długiej i za cienkiej; trzeba

było wyczuć i zrozumieć że słup żelazny — to słup; jako taki trzeba go traktować i raczej nową formę mu wymyślić, niż starą parodjować.

A pozatem, walcząc znów z całą ornamentyką starej architektury, zastępowano ją nową, niesłychanie dziwaczną. Czuć w niej jakieś zmęczenie, przeżycie, chorobliwość, jest pewne piętno kończącego się stulecia. Ale jednocześnie są genialne przebliski nowego kształtu, są pomysły szczególnie w wnętrzach domów, pełne zdrowej prostoty, jest to już przedświt epoki dzisiejszej.

Rozwijają się dwa typy domu mieszkalnego: wielki dom czynszowy i mały dom rodzinny z ogródkiem. Ideał osiągnięty w Anglii przed wiekami, by każda rodzina mieszkała sama, rozpowszechnia się na kontynencie. Powstają w Niemczech pierwsze miasta — ogrody. Wielki dom dochodowy jak dobrze jest nam znany. Warszawa ma ich niemało. Stoją sobie takie dziwy, mające czasem wielki gzymś, a czasem żadnego zupełnie; wydaje się wtedy, że ściana ucieka do góry i nagle się urwała. Bardzo często taka ściana jest wycięta u góry w zęby albo łagodne fale, — czę-

sto posiada ażurowy, żelazny djadem na szczycie, po-
gięty w dziwaczne linie, lub strzelający na wsze
strony promieniami prętów. Ulubionym motywem są
liście, kobiece głowy, jako kapitele lub zworniki, o
długich włosach, biegnących wzdłuż ściany lub ponad
oknami. Na pustym pilastrze umieszcza się wypukłą
obręcz ze zwieszającymi się trzema laskami. Wcho-
dzą, jako motyw dekoracyjny, zwierzęta, płazy, rośliny.
Na gładkiej ścianie spotykamy guzy, pasy, nacięcia.
Wycina się okna, często górne, w kształt koła lub
półkola; ustawia kawał attyki z obeliskami, jak para-
wan na dachu, nie z potrzeby, ale dla dekoracji. Bu-
dują się dziwy, mające być podobnymi do organów,
uli, muszli lub kufli do piwa.

Wnętrze musiało mieć też odbicie zewnętrznego
rysunku. Więc czasem w pokoju znajdowało się okno
jak wielka tarcza, a czasem parę wązkich strzelnic.
Wogóle pokoje w miejskich domach z tych czasów,
są przeważnie za małe, za wąskie i mają wąskie dłu-
gie okna. Rozkład mieszkania, umieszczenie okien
zależne jest ściśle od elewacji.

Secesja, panując przez lat kilkanaście, zdołała
wycisnąć piętno na duszach ludzi, wkraść się we
wszystkie przejawy życia, niemal mowę i ruchy, za-
władnęła literaturą, malarstwem rzeźbą. Rozpanoszy-
ły się secesyjne winiety w książkach i na programach
teatralnych, na deseniach robótek, na dywanach, por-
tjerach, na meblach i naczyniach. U nas panuje w
tym czasie „zakopiańszczyzna“. Ciupagi, serdaki, guń-
ki, stoły, krzesła, całe pokoje i mieszkania w stylu
zakopiańskim. Z czasem to przeszło.

Meble epoki secesji są bardzo różne. Trafiają
się rzeczy zupełnie dobre, pełne spokoju, umiaru, logi-
ki, — że do dziś nie rażą niczem. Ale są i inne, w
swoim czasie ultra moderne, dziś obrzydliwe. Dziwa-
cznie powyginane, pokręcone, połamane, czasem w
linjach płynne, — czasem kańciaste. Jakies dziwolagi,
kanapki z oparciem z prawej strony wyższem niż z
lewej, niewygodne krzesła, ażurowe kredensy pełne
półek i półeczek. Te niby prawdziwe zające i kaczk
na desce przymocowane do zawieszenia na ścianie,
te damy z gliny z uczesanymi w nioby włosami, w
długiej szacie, trzymające tarczę lustra. Wchodzą w
modę mebelki bambusowe, plecione, dobre na weran-
dę, ale nigdy do mieszkania, lekkie, kruche. Robią się
takież etażerki, biurka, parawaniki, a na ścianę, jako
pendent'y, prostokąty z maty, na których albo są ma-
lowane pejzaże lub kwiaty, albo przypinane pocztów-
ki i fotografie; czasem zamiast prostokąta mamy wa-
chlaz. I cała moc przedmiotów i przedmiocików róż-
nej wartości zalewała mieszkania miejskie, aż po owe
zyrandole elektryczne, podobne kielichom kwiatów—u
sufitu.

Czas mijał. Na czele poszukiwaczy nowego świa-
ta form szły — Niemcy. Może surowi, ciężcy w po-
mysłach, ale pełni rozmachu i śmiałości, tam, gdzie
nie potrzeba wdzięku subtelności, trzymali prym. Płyną
na świat ich modernizowane gotyki, empiry. Starają
się wyczuć ideę danego stylu, zasadę i na niej opie-
rają nowe pomysły. Francja bardzo długo tkwi w se-

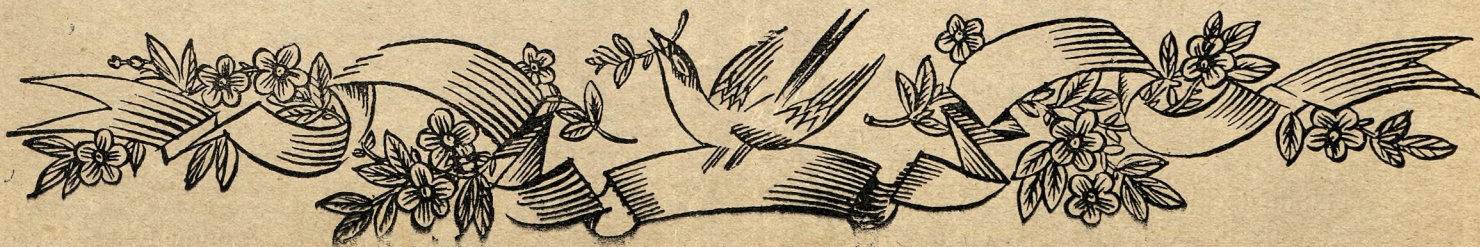
cesji; jeszcze na wystawie w 1925 r. spotykamy mo-
tywy z przed lat 25 ciu: U nas modernizm niemiecki
szczepi się koło 1910 r. Jest on za ciężki i ma wszyt-
kie cechy budownictwa narzuconego, w każdym razie
jest o całe niebo wyższy od „warszawskich renesan-
sów z ul. Marszałkowskiej“

Meble z tych ostatnich lat przedwojennych są
spokojne, proste, ale ilekroć ktoś chce mieć wytwor-
ny salon, zawsze ucieka się do „lekko zmodernizo-
wanego w szczegółach“ stylu Louis XIV, XV, XVI
lub empiru — do wyboru. Takie ciągle, bezmyślne
powtarzanie pewnego typu mebli, lub całego wnetr-
rza — jest okropne. Wszyscy rentierzy paryscy, wszy-
scy dorobkiewicz kuli ziemskiej, marzą o salonie lub
sypialni Ludwikowskiej. zdaje się im widocznie, że to
ich zbliży do Wersalu, że uszlachetni pochodzenie,
nauczy manier. Meble te były kiedyś cudne, gdy taki
mistrz pracował rok nad komodą, czy biurkiem, ale
epoka umarła, dziś maszyna tysiące identycznych odbi-
tek wydaje na świat, i rozchodzą się bezduszne podo-
bizny po mieszkankach tiers état.

Rzućmy pobieżnie okiem na szereg wnetrz, tak
jak je zastał rok 1914. Będziemy mieli wnetrza histo-
ryczne, zamki i pałace arystokracji, dwory szlache-
ckie — pełne pamiątek stylowych, świetnie zachowa-
nych mebli i dzieł sztuki. Znajdziemy takie mieszk-
kania w mieście, w pałacach i zasobnych dawnych
siedzibach osiadłej na bruku szlachty i bogatego miesz-
czństwa. Będą tam i autentyczne Ludwiki, i Empi-
re'y prawdziwe, kruche dziś i szacowne. Będą wnetr-
za późniejsze, już spatynowane, dostojne w swej za-
możności. Znajdziemy szeregi małych mieszkań zu-
bożających rodzin, lub kawalerki bogaczy — pełne sty-
lowych zabytków. Ale będzie moc mieszkań nawet
dużych, lecz banalnie brzydkich, mieszkań — ludzi,
którzy dopiero dorabiają się fortuny, albo tych, co,
nie mając poczucia artystycznego, kultury i przywią-
zania do tradycji, wyzbyli się „starzyzny“ (nieraz śli-
cznych mahoni) i urządzili modnie. Są całe zastępy
mieszkanek z koniecznym salonikiem, choćby nieuży-
tecznym, ze ścianami wyklejonymi szkaradnymi tape-
tami, upstrzonymi pocztówkami i reprodukcjami. Mie-
szkanek z garniturkiem mebli stojących okrągły rok
w pokrowcach ze zwiniętym w rulon dywanem.
Wiele od nich straszliwą nudą banalności, nieumiejęt-
nością urządzenia swego „home'u“, tępem naśladow-
nictwem bez odrobiny fantazji i pomysłowości. Mie-
szkanka takie mają zawsze salon, ale rzadko kiedy
łazienkę, a i ta służy często jako skład rupieci lub
zapasów. A te najbiedniejsze lokale, gdzie w wilgotnej
dziurze pod schodami mieszkań stróż z rodziną w za-
duchu niewiarogodnym, a w piwnicy — szewc lub sto-
larz..

Cóż mówić o nich, gdy niby inteligentne sfery
nie umiały się ani urządzać, ani dbać o wygody i
zdrowie, ani uczynić coś, co by zmieniło potworny
schemat kamienic dochodowych, co by uczyniło dom
przyjemnym, aby najmniejsze mieszkanko w mie-
ście było schludnem, ładnem, wygodnem, zdrowem
i miłym gniazdkiem rodzinnem.

Zygmunt Knothé.



HISTORIA GOTOWANIA

Minęły na szczęście czasy, kiedy treścią życia było jedzenie, kiedy świetność każdej uroczystości zasadzała się na ogromnej ilości potraw i napoi, a największą przyjemnością dla wielu biesiadników było — zaledwie móc podnieść się od stołu.

Ciężkie dzisiejsze warunki bytu zmusiły nas do zastanowienia się i krytycznego rozpatrzenia sprawy jedzenia, i choć przyznajemy, że zasilać nasz organizm przez jedzenie jesteśmy zmuszeni, to jednak zrozumieliśmy, że jeść trzeba, aby żyć, a niewzorem przeszłości, — żyć aby jeść.

Wszelki nadmiar zawsze jest szkodliwy, a cóż dopiero nadmiar jedzenia, który nie tylko obciąża żołądek, ale i w kieszeni pokazuje robi wyłom. Przekonaliśmy się, że po większej części chroniczne katarzyska, złośliwe choroby żołądka powstają z nieracjonalnego nadmiernego jedzenia. Coraz bardziej odczuwamy nasze braki w dziedzinie wykształcenia w gospodarstwie domowym, coraz więcej rozumiemy odpowiedzialność, jaką ponosimy, biorąc na siebie obowiązek dbania o zdrowie i siły do pracy naszych domowników. Nie dosyć jest nawet umieć przyrządzać potrawy, trzeba jeszcze wiedzieć, jak je łączyć i mieszać ze sobą, aby przy stosunkowo małym obciążeniu żołądka, przyniosły organizmowi jaknajwiększy pożytek...

Wskutek bogactwa i taniości produktów, weszło u nas w zwyczaj jeść tak obficie, że każdy cudzoziemiec wydziwić się nie mógł ilościom i jakościom spożywanych przez nas pokarmów, a Karlsbad w dużej części rekrutował swoich bywalców z Polski. Myśląc pani domu w niemałym nieraz jest kłopotcie, chcąc, jak to mówią, połączyć piękne z pożytecznym, odrzucić z menu domowego niepotrzebny balast, a użytkować należycie to, co konieczne nam jest potrzebne do życia. Do tych kłopotów dodajmy jeszcze najgorszy: trudność dobrania służącej, któraby choć trochę gotować umiała, a przyznajemy, że niezbędnym jest, aby sama pani, znając się na kuchni, umiała pokierować niezłym nawet nie raz, a tylko surowym materiałem „służącej do wszystkiego“, z której przy cierpliwości można z czasem wykręcić iskrę talentu.

Otóż, wchodząc w położenie moich młodych czytelniczek, które na sobie doświadczają przykrości przekonania się, że „chcieć — to nie zawsze móc“, postanowiłam ułatwić im to ciężkie zadanie i dać niektóre wskazówki gotowania, robienia zakupów, przechowywania produktów i t. p.

Przytem po cichutku dam jedną radę: poświęćcie Panie choć godzinkę dziennie na przestudjowanie dobrej kucharskiej książki, a większą przyniesie Wam ona korzyść, niż te skandaliczno-erotyczne wydawnictwa, niosące zysk jedynie swoim wydawcom. Na dowód, że sztuka kucharska nie jest godną pogardy i że od najdawniejszych czasów ma swoją historję, przytoczę tu krótki jej zarys, a przekonamy się, jak z rozwojem kultury rozwijała się też potrzeba doskonalenia przyrządzania potraw, przechowywania produktów, solenia i wędzenia mięsa i t. d.

Początek kucharstwa idzie z Azji, gdzie prym trzymali Persowie w tej sztuce. Prostota, jaką początkowo odznaczała się ich kuchnia, w ciągu dwóch wieków przekształciła się w szalone zbytki i przepych prawdziwie wschodni. W Assyrii najwcześniej, bo już na dwa wieki przed Chrystusem zajmowano się uprawą roli, produkcją zbóż i handlem, hodowano cenne gatunki bydła i drobiu, wyrabiano doskonałe

masła i sery. Najwykwintniejsze owoce wyrastały wspaniale na zupełnie nieuprawnej ziemi. Z pewnego gatunku palmy dostarczano napoju wybornego, niby musujące wino, nic zatem dziwnego, że Assyrię zwano krajem wina, owoców i chleba. To też w tym kraju naprzód rozwinał się wykwint w sztuce kulinarnej. Do podawania rzadkich potraw używano mis z cennych kruszców, wysadzanych drogiemi kamieniami, błaty od stołów biesiadnych były z alabastru.

Z Persji i Assyrii przedostała się sztuka gotowania do Grecji i Egiptu — skąd przeszła do Rzymu, gdzie wkrótce kucharz stał się ważną osobistością. Niezliczone skarby, które zdobywał Rzym na narodach wschodnich, podatki i daniny, które niemiłosiernie ściagał z Greków i Egipcjan, doprowadziły rozszalałych bogactwem patrycjuszów do niesłychanych zbytków w biesiadach.

Sprowadzano najrzadsze produkty, wyrzucano majątki w jeden wieczór, za czasów Lukullusa uczyły przekształcały się w istne orgje, które weszły w przysłowie.

Na kilkadziesiąt lat przed Chrystusem, w Rzymie były już szkoły kucharskie, a opisane przez Petronjusza biesiady, napełniają nas podziwem dla ich przepychu, a zarazem wstrętem dla przerafinowania ucztujących.

Taką ucztę z czasów Nerona cudownie opisał w Quo Vadis nasz wielki pisarz, Henryk Sienkiewicz. Najekscentryczniejsze pomysły rodziły się w głowach przeżytych tyranów przeszłości, i tak jeden z następców Nerona — Vitellius, przejadł w krótkim czasie miljony na niezwykłe specjalne, podawane w szczerze złotych naczyniach.

Nie o smak tu chodziło, bo trudno go było doszukać się w mózdkach bażancich i jęczyczkach flamingów, ale o nadzwyczajność pomysłu, któremu nikt jeszcze nie dorównał. Kleopatra np. kazała drogocenną perłę rozpuścić w kielichu wina, utarłszy ją pierwej na mąkę, i wypić następnie ten najkosztowniejszy do tej pory napój. Sławne uczyły ces. Heliogabala dają nam przerażający obraz rozpasania obyczajów i demoralizacji tych czasów, oddany wiernie w Irydjonie Krasieńskiego.

Po upadku Państwa rzymskiego upadł również i wykwint kucharski w Europie, tak jakby chcąc odpocząć po zgniliznie cywilizacji rzymskiej, ludzie garnęli się do prostoty pierwotnej. Dopiero nowe zetknięcie ze Wschodem, podczas wojen krzyżowych w innej już formie oddziaływało na przebudzenie uspiomych instynktów kulturalnych w Europie. Przywieziono wiele gatunków nieznanych dotąd owoców i jarzyn; nieprędko jednak zostały one przyswojone i użytkowane do codziennego użytku. Jeszcze przy końcu XVI wieku w Anglii nie jadano świeżego mięsa, a tylko jedynie ryby i zwierzynę. Królowej Annie Boleyn podawano na śniadanie dzban piwa i krajanki słoniny. Noże i widelce wprowadzono w modę dopiero we Francji za czasów Filipa Pięknego. Przy jednej z uczt dworskich podano je po raz pierwszy w sposób bardzo zabawny, to jest, że mężczyźni przy swoich nakryciach mieli położone noże, a obok siedzące kobiety — widelce. Dopiero wiek XVIII wprowadza we Francji pełnię rozwoju sztuki kulinarnej, dokąd dostała się z Włoch. Włosi, jako najbardziej zbliżeni tradycją i literaturą do starego Rzymu pierwsi wprowadzili pewną rozmaitość, rodzaj artyzmu w jedzeniu.

Katarzyna Medycejska, matka Karola X, zastosowała pewne zmiany w kuchni dworskiej w Paryżu.

Za Ludwików XIV i XV kuchnia francuska zdobywa pierwsze miejsce w świecie i odąd stale utrzymuje się na tym poziomie. Sławni skądinąd ludzie nie gardzą wymyślaniem nowych potraw. Filozof Montaigne pisze o nauce jedzenia, nawet Papież Pius V, każe swojemu kucharzowi pisać książki kucharskie. Richelieu jest twórcą dzisiejszych majonezów, książę Condé—nowej zupy z fasoli, do dziś dnia spotykanej na kartach restauracyjnych w Paryżu, jako „potage à la Condé”; minister Colbert stwarza znany „sos Colbert”; Béchamel, ochmistrz dworu Ludwika XIV ulepsza cały szereg potraw i przekazuje potomności znany

„sos Béchamel” w swojej książce zatytułowanej „sur l'art de cuisinier”.

Dzieła kucharskie, wydane w owych czasach, dziś jeszcze mają dużą wartość, a niektóre, bardzo rzadko spotykać się dające, dochodzą do wysokich cen, jak np. „Le pâtissier Elzepries”. Jak wielką wagę przywiązywano w owych czasach do kuchni, dowodzi, że kucharz Ludwika XV—Montier, studjował medycynę i chemję ówczesną, aby zastosować te nauki w swoich kucharskich przepisach.

Sławni Vatel, kuchmistrz Ludwika XIV odebrał sobie życie z rozpacz, doznawszy poważnych niepowodzeń w swoim fachu.

(d. c. n.)

J. S.

ZAPASY PRZEDŚWIĄTECZNE

Chociaż jeszcze trzy tygodnie nas dzielą od Świąt Bożego Narodzenia, każda oszczędna gospodyni już teraz powinna pomyśleć o zaopatrzeniu się w te produkty, które się przechować dadzą, gdyż wie, że wszystko co roku w ostatnich dniach przed świętami drożeje. Szczególniej tyczy się to ryb, których niestety w naszym klimacie, przechować nie ma sposobu; w bardziej północnych częściach kraju można je doskonale trzymać całymi miesiącami. Dziwnem jest nawet, że nasze władze, surowo karzące w czasie zwykłym drobne wykroczenia przeciwko taksie i sadzające do kozy za pobieranie pięciu groszy drożej za kilo masła, lub pół grosza za bułeczkę, i kwalifikujące te nadużycia jako lichwę żywnościową, nic nie robią, aby zabezpieczyć w czasie przedświątecznym dostateczną ilość i względną taniość ryb, tych ryb, które ludność pracująca bodaj, że raz tylko do roku, w dniu wigilijnym, spożywa. Jeśli nazwać lichwą żywnościową dodanie pięciu groszy przy pięciu złotych, które kosztuje kilo masła, jakie miano dać zwiększeniu ceny zwykłego karpia ze zwykłych trzech złotych pięćdziesięciu groszy do czterech złotych—na siedem, osiem, nawet dziesięć złotych—w zależności od rozmiaru sztuki, co stale co roku się powtarza z karpiami. A właśnie karp, jako ryba hodowana w stawach, może zawsze w dowolnych ilościach być dostarczona na rynek, gdy ilości wszystkich innych ryb są zależne od pomyślnego, lub mniej pomyślnego połowu.

Karpie się bierze ze stawu, jak kury z kurnika, nie może być mowy o tem, że połów był niedobry. Tymczasem jednak nie możemy liczyć na to, że ryby będą tańsze, niż zwykle, w dzień tegorocznej Wilji i tembardziej powinniśmy się starać zaoszczędzić na innych artykułach. Jedyne sposoby zaoszczędzenia, to kupić wcześniej.

Więc przede wszystkim kupić zapas maki na strucle, pierniki, ciastka do maku i inne przysmaki świąteczne; kupić i schować gdzieś oddzielnie, aby nie „wyszło” przed świętami. To „nie wyszło” dodaje dla tego, że pewna gospodyni, mająca renomę dobrej, niedawno z oburzeniem mi powiedziała, że moje nawoływanie do zakupów hurtowych, do robienia zapasów, do kupowania wszystkiego w czas, powoduje tylko większe wydatki i większe rozchody, gdyż jak coś jest w domu, to bardzo prędko „wyjdzie”, a jak czegoś jest więcej to i więcej „wychodzi”. Zasadniczo się różnię w poglądach z tą panią, i zostaję przy swoim twierdzeniu, że właśnie, mając zapasy, naj-

łatwiej jest normować rozchód, a co zatem idzie i wydatki domowe.

Oprócz maki—cukier i miód. Pierwszego cena jest reglamentowana, więc zapewne nie podrożeje; przed świętami jednak będzie masa innych wydatków i te kilkanaście złotych, których wtedy nie będzie trzeba wydać na cukier, będą mile widziane w portmonetce i znajdą jakieś pilne zastosowanie. Miód zaś nie tylko napewno zdrożeje, lecz jeszcze, znając dokładnie nasz handel, twierdzą, że przed wilją zjawia się na rynku masa falsyfikatów, które w tłoku i pośpiechu są zbywane pomyślnie.—Dalej wszystkie bakalie, za wyjątkiem naturalnie cukierków i marmoladek, które muszą być świeże. Bo przecież ani figi, ani daktyle, ani rodzenki, ani migdały, ani orzechy i t. d., i t. d. nie dojrzewają po kilka razy do roku, i nawet po kilka razy do roku nie są sprowadzane przez hurtowników, tylko już dawno przyszły w ładunkach wagonowych i teraz czekają tylko pomyślanej konjunktury, (to jest—dużego zapotrzebowania) aby podskoczyć w cenę.

Kiedy mowa o migdałach, muszę przypomnieć moim czytelnikom, że teraz, kiedy prawdziwe migdały doszły do cen wprost zawrotnych, czas jest je zastąpić do pieczywa japońskimi orzeszkami, „tugul”, u nas zwanymi „żydkami”, lub „pistacje białe”. Orzeszki te po mocnym upieczeniu pod blachą, (bardzo długo je piec należy, gdyż niedopieczone przypominają smakiem groch surowy,) do ciast, a szczególnie do przekładania strucli wybornie zastępują migdały, naturalnie tylko słodkie, gdyż gorzkich dla zapachu zawsze dodawać należy, jak to się zresztą robi i przy użyciu prawdziwych migdałów słodkich. Tort migdałowy, makaroniki i t. p. z tych orzeszków w niczem się w smaku od waniliowych z prawdziwych migdałów nie różnią. Większość cukierni się nimi posługuje, pozostawiając prawdziwe migdały do marcepanów tylko i nadziewania czekoladek.

Słów oddzielnych kilka muszę poświęcić orzechom włoskim i makowi. Jedne i drugie niezbędne są przed świętami, i jedne i drugi należy kupić jak najwcześniej, z tej samej przyczyny, co i miód. Gdyż w dniach ostatnich przed wilją, kiedy jest na nie olbrzymie zapotrzebowanie i zupełny brak wyboru, są zbywane wszelkie jełkie i gorzkie, zeszłoroczne resztki. Wszelkie korzenie, wanilje i cynamony, goździki i pieprze i t. p. w ogólności najlepiej mieć kupione na rok cały, nie kupując ich

nigdy małymi ilościami, gdyż kupując po parę deka, płacimy za torebki nieraz więcej niż za sam towar. Ocet i oliwę do sosów majonezowych, musztardę i kapary, możemy też już teraz nabyć, nie psuje się to wszystko. Wódki i likiery, (a o nalewkach domowych, szanowne panie zapewne już latem pomyślały?) wina mogą być kupione nietylko teraz, lecz dawno już. Przecież każda gospodyni, nawet już po paru latach gospodarstwa wie dokładnie, ile tych rzeczy przez święta się w jej domu konsumuje i ile nabyć należy.

Jeszcze jedna ważna pozycja: podarunki świąteczne. Każdy ma dzieci własne, lub innych członków rodziny, które obdarowuje corocznie, służba domowa, a czasem nawet służba przyjaciół, lub krewnych czeka na upominki, szeregi milusińskich w domach zaprzyjaźnionych też się cieszą z drobiazgów im przynoszonych. Otóż te wszystkie podarunki, te materiały na bluzki i suknie dla służby, te artystyczne lub praktyczne upominki dla rodziny, te zabawki dla dzieci można nabyć dużo, dużo taniej i spokojniej, bez pośpiechu i potrącania na kilka tygodni przed świętami, można każdą rzecz obejrzeć lepiej i każdy podarunek lepiej obmyśleć i zastosować. Inne zapasy, naprzykład drób, zwierzyne i wędliny, chociaż i można też nabyć nieco wcześniej, lecz jeszcze nie teraz, może jeszcze w swoim czasie coś o nich napiszę. Tymczasem widzę, że zapomniałam o grzybach. Te radzę nietylko nabyć zaraz na wilję, lecz już teraz i na post wielki, gdyż wnosząc z tego, jak co tydzień drożeją, mogą na wiosnę stać się dostępne tylko dla miljarderów, których nie mamy wcale. *Pani Elżbieta.*



GEŚ NADZIEWANA MAKARONEM

Geś oczyszczoną, opaloną, starannie oczyścić z supłów, wyjąć z niej wnętrze, uciąć szyję z głową, skrzydła i nogi, natrzeć zewnątrz i wewnątrz solą z utartym majerankiem, dać tak poleżeć godzin parę. Pół kilo grubego włoskiego makaronu połamać na dwucalowe kawałki, wrzucić na osoloną wodę, zamieszać raz kilka, aby do dna rondla nie przystało, gotować, aż straci surowiznę, nie powinien jednak być zupełnie miękkim. Odcedzić na durszlaku, dać przestygnąć. Piętnaście deka surowego boczku, baleronu, lub bardzo tłustej szynki pokrajać w drobne paski, zmieszać z makaronem, włożyć łyżkę masła, lub dziesięć deka krajanej drobno słoninki, osolić do smaku, odrobinę popieprzyć, wsypać sporą łyżkę utartego majeranku, na koniec wbić dwa jaja całe, dokładnie wymieszać, nadziać tem geś, zaszyć. Ułożyć na brytfan-

nę, posmarować masłem lub szmalcem, najlepiej gęsim i piec pod blachą, polewając wodą i tłuszczem, który z siebie wypuści. Po upieczeniu — geś rozrąbać wzdłuż, makaron wyjąć, pokrajać w ładne plasterki, geś zgrabnie porąbaną ułożyć wkoło. Połowę sosu wylać na makaron, drugą — podać w sosjerce.

CZERNINA Z DRÓBEK GEŚICH

Przy rznięciu gęsi krew spuścić do naczynia z octem i nieco posolić. Można płyn ten zlać do kompotjerki, w której, na chłodzie może stać dni kilka, do tygodnia. Dróbka gęsie, za wyjątkiem wątróbki, której nigdy nie należy gotować, gdyż daje gorycz zupie, nastawić z dwoma litrami wody, marchewką, pietruszką, cebulą, paru ziarnkami pieprzu i ziela i listkiem. Gdy zawrze, zszumować i gotować dalej na wolnym ogniu, aż dróbka tak zmiekną, że od kości odstawać zaczną. Dziesięć deka dobrych owoców suszonych, (gruszek, jabłek, śliwek,) namoczyć w wilję dnia, kiedy będą potrzebne, w niedużej ilości wody, gotować je w tej samej wodzie z dodaniem pięciu deka młodej słoninki drobno pokrajanej, aż zupełnie zmiekną. Zrobić krajane kluseczki z ćwierć kilo maki, jednego żółtka, odrobiny soli i paru łyżek wody, pokrajać w paski cienkie lub drobne łazanki, ugotować w osolonej wodzie, przelać na durszlaku zimną wodą. Na kilka minut przed podaniem rosół przecedzić, włożyć doń kluski i owoce uduszone, krew z octem rozbić łyżką maki pszennej, rozprowadzić szklanką rosółu, zmieszać z resztą, raz zagotować, popróbować na smak, dodać soli, czy octu, czy cukru, — czego według naszego gustu brakuje, i zaraz gorącą podawać. Dróbka podaje się oddzielnie na talerzu, lub użyć je można na oddzielną potrawę, gdyż czernina sama przez się jest bardzo pożywna i sycąca.

POTRAWKA Z DRÓBEK GEŚICH

Dróbka ugotowane zalać kilkoma łyżkami rosółu, aby nie obsychały i trzymać w cieple, wątróbkę dobrze wymoczyć w wodzie lub mleku. Ćwierć kilo ładnej, niezbyt drobnej kaszy perłowej ugotować w wodzie na dosyć gęsto, włożyć w to łyżkę masła i wybijać drewnianą łyżką na ogniu, aż się doskonale rozklei, wtedy dopiero osolić i wymieszać z garstką koperku zielonego lub suszonego. Trzy białe, prawdziwe spore grzybki ugotować w niewielkiej ilości wody, pokrajać w cienkie paski. Łyżkę masła zasmażyć nie rumieniąc z łyżką maki, rozprowadzić smakiem grzybowym i rosółem z dróbek do gęstości zwykłego sosu, dodać pokrajane grzybki, zaprawić dobrą łyżką śmietany. Wymoczoną wątróbkę usmażyć na rumiano na masle lub szmalcu gęsim, uważając, aby wewnątrz została soczysta. Jeśli jest bardzo duża, przed smażeniem pokrajać ją na kilka plastrów. Na półmisku ułożyć w środku perłową kaszę wkoło porąbane ładnie dróbka i wątróbkę smażoną, wszystko obficie polać grzybowym sosem, resztę sosu podać w sosjerce. *Pani Elżbieta.*

KTO CHCE TANIO I ŁADNIE UBRĄĆ CHOINKĘ I PRAKTYCZNIE URZĄDZIĆ ŚWIĘTA — MUSI NABYĆ

„OZDOBY CHOINKOWE“ I „POTRAWY WIGILIJNE“

POSZCZEGÓLNE ZESZYTY „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“.

Cena każdego zeszytu 1 zł. 50 gr., które należy przesłać do Administracji „Życia Praktycznego“

Krak. Przedm. 99 przekazem pocztowym, lub na konto P. K. O. 170.

KORESPONDENCJE DZIAŁU PRAKTYCZNEGO

Jadwiga Smoleńska Busk Kielecki. Cena zrzeszonych pensjonatów jest prawie jednakowa we wszystkich. może Sz. Pani spróbuje w tym roku zamieszkać u Pani Barszczewskiej. Szopena 16. Wielkie słyszałam pochwały o jej pensjonacie. Co do prywatnego mieszkania, najlepiej zamieścić ogłoszenie w Kurjerze Warszawskim i wskazać adres, gdzie mają kierować oferty.

Krakowiance w Bełżu. Podwójny zephyr bardzo ładny kosztuje kłębek 50 gr. 2 zł. 20 gr. Najlepiej niech Sz. Pani zwróci się w Warszawie do firmy Wegenko, Marszałkowska 83.

Pani W. M. Tow wydawnicze „Bluszcz” posiada na składzie książeczkę „Haft kolorowy”, którą po nadesłaniu 1 zł. 50 gr. wysłamy natychmiast. Wzory innych robót i zabawek dajemy stale w „Bluszczu”, a w tych dniach wyszła książeczka pod tytułem „Ozdoby choinkowe”, zawierająca kilkadziesiąt rodzajów zabawek naturalnej wielkości wraz z opisem jak je robić. Cena książeczki 1 zł. 50 gr. Innych wydawnictw dotąd nie posiadamy. może znajdzie je Pani w firmie Rozmanith, Ossolińskich Nr. 8, Warszawa.

Maturzystce. Jedynie pantofelki będą używane do wieczorowych sukienek, najmodniejsze są ze srebrnej lub złotej lamy lub brokatu. Do różowej sukienki myślę, że ładnie wyglądać będą srebrne pantofelki. Ani lakierki ani białe pantofelki zupełnie nie są noszone. Moda płytkego obuwia utrzymuje się, wobec czego niezgrabne, jak Pani słusznie mówi śniegowce, są niezbędne. Co do wysokich bucików to te zdaje się na długo zeszyły z horyzontu, chociaż trudno przewidzieć kaprysy mody. Ciepłe pończochy używane są tylko do sportów lub na wycieczki, trudno bowiem do płtych pantofelków nosić wełniane pończochy, aby ustrzec nogi od przeziębienia nosi się śniegowce. Sukienki wieczorowe robi się z crepe de chine'u, georgette'y, innych lekkich materyj. Jeżeli Pani kupi pantofelki srebrne, proszę je zawsze po użyciu owinąć w czarną bibułkę, a nigdy nie szernieją.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Pani Henryka S. Białe plamy są bardzo trudne do usunięcia, jedynie światłolecznictwo daje dobre rezultaty.

Nauczycielce. Trudno jest Sz. Pani poradzić cośkolwiek skutecznego, gdyż obie dolegliwości wymagają częstych kąpiei.

Przeciwko poceniu się należy stosować częste kąpiele z soli aromatycznych Karpińskiego; posuszeniu pudrować galmaninem Karpińskiego. Również przy łojotoku konieczne są częste kąpiele jeśli Sz. Pani się zaziębia, to naturalnie kąpiele nie używać, natomiast wycierać się spirytusem 20% rezorcynowym i często pudrować się pudrem higienicznym.

Bez wody jednak efekt będzie minimalny.

Ażeby skóra zbyt nie odtłuszczała, proszę spróbować użyć „Mój Krem”. Naświetlanie lampą kwarcową daje dobre rezultaty.

Czytelniczce ze wsi (Małopolska). Na nagniotki proszę spróbować pasty „Esta”, doskonały środek, sposób użycia przy opakowaniu podamy. Zamawiać można w aptece Kęty, magister farmaceutyczny Sokalski.

* * *

Na liczne zapytania Czytelniczek jak wykonać należy poszczególne wzory, radzimy nabyć książeczkę p. t. „Haft kolorowy”, która zawiera dokładną naukę wszystkich ściegów, oraz wzory naturalnej wielkości i kosztuje 1 zł. 50gr.

Otrzymać ją można w Adm. „Bluszczu”, która dla Czytelniczek nie dolicza kosztów przesyłki.

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO NR. 48

1088. Palto sukienne granatowe, przybrane futrem.
1089. Palto z kałanków — pasek skórkowy.
1090. Palto z kasha koloru lie de vin przybrane futrem.
1091. Suknia wełniana z jasną kamizelką sukieną.
1092. Palto sukienne koloru taupe przybrane futrem.
1093. Paltocik granatowy sukieny dla dziewczynki siedmioletniej.
1094. Suknia wełniana przybrana jaśniejszym sukniem i plisowanym jedwabiem.
1095. Sukienka z welwetu i jasnego sukna dla dziewczynki siedmioletniej.
1096. Paltocik z kasha z futrzanym kołnierzem dla dorastającej pannieki.
1097. Sukienka wełniana koloru lie de vin dla młodej pannieki.
1098. Sukienka z woalu w nikłą kratę dla dziewczynki ośmioletniej.
1099. Suknia granatowa wełniana, kołnierz popielaty, naszyty granatowym.
1100. Sukienka z flanelki w paski dla dziewczynki pięcioletniej.
1101. Suknia z crêpe marocain koloru rezedowego — kamizelka biała.
1102. Bluzka wełniana koloru lie de vin.
1103. Bluzka z fularu deseniowego i gładkiego.
1104. Bluzka z flory koloru poziomkowego, przybrana haftem.
- 1105 - 1106 - 1107 - 1108. Modne fasony spódnic.
1109. Pięć motywów do haftu kolorowego na suknie, lub bluzki wielkość naturalna.
1110. Pięć wzorów do haftu kolorowego na bieliznę — wielkość naturalna.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna	zł. 3.50
suknia zwyczajna	„ 2.50
bluzka	„ 2.00
formy dziecinne.	„ 2.00
bielizna	„ 1.50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrus — makata — ekran — zł. 2,50,
poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne
desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza tymi, które były umieszczane w „Bluszczu”, nie wysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

* * *

Zawiadamiamy Nasze Czytelniczki, że jedna ze stałych współpracowniczek działu robót w „Bluszczu” organizuje komplety haftów artystycznych. Informacje telefonicznie do 10-ej rano i od 3-ej do 4-ej pp. Telefon Nr. 273-34. Jednorazowe porady w sprawach robót.



PRZEMYSŁ
MYDLARSKI
i
PERFUMERYJNY

FRYDERYK PULS S. A.

WIERZBOWA 11.